Poczta opłacona z góry. Cena 25 groszy.

GŁOS EWANGELICKI

PISMO TYGODNIOWE POŚWIĘCONE SPRAWOM KOŚCIOŁA EWANGELICKO-AUGSBURSKIEGO W POLSCE.

Rok XVI. WARSZAWA, dnia 6 października 1935 r. Nr. 40.

Numer niniejszy wydany z powodu XV-lecia „Głosu Ewangelickiego".

Z PAMIĄTEK ZBORU.



MEDAL PAMIĄTKOWY.

Ilustracja powyższa przedstawia jedną stronę medalu, który został bity staraniem Zboru Warszawskiego dla upamiętnienia uroczystości poświęcenia kościoła, a zarazem dla uczczenia zasługi jego twórcy, architekta Szymona Bogumiła Zuga. (Niemieckie „Gottlieb" po polsku „Bogumił", przetłomaczone na łacinę, brzmi: „Amadeus").

Napis łaciński czyta się: „Dedicatum die 30 Decembr. 1781. Industriae gratuitae Augsburgensis Confessionis Evangelici Varsovienses.

Znaczy to po polsku: „Ofiarowane dnia 30 grudnia 1781 roku. Ewangelicy Warszawscy wyznania Augsburskiego — dla uczczenia bezinteresownej pracy."

Na kartkach pamiątkowych, które otrzymują wszyscy, składający ofiary na pokrycie dachu kościelnego miedzią, widnieje ta sama reprodukcja.

Na drugiej stronie medalu jest utrwalona podobizna zasłużonego budowniczego, z napisem dokoła: „Simon Amadeus Zug, Architectus Elect: Sax:" t. zn. „Szymon Bogumił Zug — Architekt Elektora Saskiego."

Poczta opłacona z góry. Cena 50 groszy.

GŁOS EWANGELICKI

PISMO TYGODNIOWE POŚWIĘCONE SPRAWOM KOŚCIOŁA EWANGELICKO-AUGSBURSKIEGO W POLSCE.

Organ szerszych warstw ewangelików polskich, przy udziale ks. ks. profesorów: *Ed. Burschego, A. Suessa, K. Michejdy, ks. seniora Gloeha* — z Warszawy, *ks. W. Galstera* ze Starej Iwiczny, *ks. J. Kahanégo* z Katowic, *ks. J. Winklera* z Pilicy, *ks. prefekta A. H. Figaszewskiego* ze Śląska Górnego, *prof. gimnazjum im. M. Reja, Dra O. Bartla, prof. gimn. zgierskiego A. Wajgelta.*

Cena prenumeraty: wraz z przesyłką pocztową: 3 zł. kwartalnie. Pojedyńczy numer 25 groszy.

Adres Redakcji i Administracji:
WARSZAWA, ks. senior F. GLOEH, ul. Puławska Nr. 4.
Prócz administracji prenumeratę przyjmuje:
w Warszawie, księgarnia W. Mietke, Wspólna 10.
Księgarnia. G. Szylinga, Szpitalna 10.
w Łodzi, księgarnia Rennera Piotrkowska 65.

Wychodzi raz na tydzień w niedzielę.

Ogłoszenia: Kolumna zawiera 4 szpalty ogłoszeń. Za wiersz nonparelowy po tekście 20 groszy w tekście 40 groszy.

Konto czekowe w Pocztowej Kasie Oszczędności Nr. 1508.

Rok XVI. **WARSZAWA, dnia 6 października 1935 r.** **Nr. 40.**

O miłosiernym Samarytaninie

I oto, pewien zakonoznawca powstał, kusząc go i mówiąc: Nauczycielu! co mam czynić, abym odziedziczył żywot wieczny? A on rzekł do niego: W zakonie co napisano? A on odpowiadając rzekł: Będziesz miłował Pana, Boga twego, ze wszystkiego serca swego, i ze wszystkiej duszy swojej, i ze wszystkiej siły swojej, i ze wszystkiej myśli swojej, i bliźniego swego jak siebie samego. I rzekł mu: Dobrześ odpowiedział; to czyń, a będziesz żył. A on, chcąc samego siebie usprawiedliwić, rzekł do Jezusa: I któż jest bliźnim moim? A Jezus odpowiadając rzekł: Człowiek pewien szedł z Jerozolimy do Jerycha i wpadł między zbójców, którzy złupiwszy go i rany mu zadawszy, odeszli, napół umarłego zostawiwszy. I zdarzyło się, że kapłan pewien szedł oną drogą, i ujrzawszy go, pominął. Także i Lewita, przybywszy na to miejsce, podszedł, i ujrzawszy go, minął. A Samarytanin pewien jadąc, podszedł ku niemu, i ujrzawszy go, żalił się nad nim. I przystąpiwszy zawiązał rany jego, nalewając oliwy i wina, a wsadziwszy go na swoje bydlę, wiódł go do gospody, i miał staranie o nim. A nazajutrz odjeżdżając, wyjął dwa srebrne pieniądze, i dał gospodarzowi, mówiąc mu: miej o nim staranie, i cokolwiek nad to wydasz, ja, gdy wrócę, oddam ci. Któryż tedy z tych trzech, zdaniem twojem, był bliźnim temu, który wpadł między zbójców? A on rzekł: Ten, który uczynił miłosierdzie nad nim. Rzekł mu tedy Jezus: Idźże, uczyń i ty podobnież

Łukasz 10, w. 25 — 37.

O miłosiernym samarytaninie wygłoszono od dni Jezusa niezliczoną ilość kazań. Ale póki ludzie pytać będą: „Któż jest bliźnim moim?"—trzeba będzie o tem pouczać. Odpowiedź Jezusa zdumiewa swoją jasnością i prostotą. Nasze wahania były dla Jezusa rzeczą obcą. Pan zawsze wiedział, kto jest jego bliźnim i jaką pomoc należy mu okazać. Czy wybawienie z udręczeń ciała czy duszy. Czy należy pocieszać czy raczej ostrzegać lub grozić. Żadne pozory nie mogły Pana w błąd wprowadzić. Tych, którzy go pytali, przenikał nawskroś i dlatego odpowiedzi jego cechowała zdumiewająca trafność. Jesteśmy pełni podziwu dla męża, ktory wszystkim udrękom i utrapieniom tego świata zarówno jak przewrotności ludzkiej zawsze umiał przeciwstawić niezamącony spokój i niewyczerpane skarby swego ducha. Sztuki życia możemy się od niego nauczyć bardziej niż od kogokolwiek. Ale życie wymaga od nas nieprzeciętnych kwalifikacyj. Orjentowanie się w zawiłych zagadnieniach życia i trafne rozstrzyganie spornych spraw, jest nieraz rzeczą bardzo trudną. Dlatego nawet ludzie szczerego serca i głębokiej wiary często błądzą.

Uczony żydowski, który pytał Jezusa: „Co mam czynić, abym odziedziczył żywot wieczny?", *kusząc Go*, wystawił sobie w tej chwili mimo swoich świątobliwych pozorów najgorsze świadectwo. Natomiast, gdy w chwilę potem pytał: „Któż jest bliźnim moim?"—nie był ani ignorantem, ani nie potrzebował wcale być człowiekiem przewrotnym. Albowiem decyzja o tem kto jest, a kto nie jest naszym bliźnim, nastręczała wtedy niemniej trudności niż nastręcza dziś, raczej dużo więcej.

Nie zapominajmy nasamprzód, że obcowanie z poganami było na mocy zakonu żydom wzbronione, i że zakon ten miał swoje uzasadnienie. Żyjąc wśród tylu narodów świata, wciąż pamiętać o swojej odrębności, o swojem wybraństwie, i wciąż wszystkim innym się przeciwstawiać można było tylko za cenę niesłabnącego ani na chwilę poczucia własnej wyższości. Wszelako od tego poczucia wyższości nieodłączny wydaje się pewien fanatyzm, upokarzająca innych duma i szorstkość. Wszak nawet Zbawiciel czynił niekiedy różnicę między poganami, a dziećmi ludu wybranego. „Nie jestem posłany — tylko do owiec, które zginęły z domu Izraelskiego". Czy w takich warunkach poganin mógł uchodzić za bliźniego? Czy należało go z narażeniem własnego życia ratować. Czy wolno było zanieczyszczać się, chcąc mu podać rękę i okazać w niedoli pomoc?

Wszak my dziś jeszcze nie wyzwoliliśmy się z narodowych, towarzyskich, stanowych, religijnych i wielu innych uprzedzeń. Przykładów nie potrzeba długo szu-

kać. Tak często wymieniane dziś słowo „rasizm" mówi samo za siebie. A wódz jednego z przodujących narodów świata, mąż bezspornie skądinąd wielki, nie wahał się w tych dniach zastrzec wobec całego świata przeciw stawianiu na równi narodu, z którym zamierza rozpocząć wojnę, z jego narodem. To publiczne oświadczenie wielka rodzina cywilizowanych i rzekomo chrześcijańskich narodów przyjęła bez protestu, w wymownem milczeniu, gdyż żaden naród niema w tym względzie czystego sumienia. Nikt nie śmiał protestować. Więc nie kwapmy się z zapewnieniem, że sprawa jest jasna i że oczywiście jesteśmy wszyscy bliźnimi.

Sprawa w teorji nie jest jeszcze rozstrzygnięta i tem bardziej w praktyce. Ani nie jest łatwo w każdym poszczególnym wypadku okazać pomoc, choćby się miało najszczerszy zamiar. Ludzie, którzy słuchając opowieści o miłosiernym samarytaninie mniemają, że oczywiście należało wszystko to uczynić, co on na drodze do Jerycha uczynił, nie doceniają trudności, które trzeba było wtedy pokonać.

Znawcy Palestyny mówią nam, że droga z Jerozolimy do Jerycha była doniedawna jeszcze bardzo niebezpieczną i słynącą z ustawicznych napadów. Odludna, dzika, górzysta okolica i na przestrzeni 35 km. tylko 2 gospody. Najpewniejszym ratunkiem samotnego podróżnika był dobry wierzchowiec. Człowiek, który wpadł między zbójców, szedł piechotą i to go zgubiło. Samarytanin, gdy ujrzał z wysokości swego siodła, co się stało, mógł był pomyśleć: jakie szczęście, że mam pod sobą rączego konia. Ale zaraz potem: jednak nie można tu tego człowieka zostawić. Wiem, że ratując go, siebie narażę. Ale muszę go ratować. Jak człowiek, który widząc tonącego, skacze do wody. Przy takiej okazji można samemu utonąć. Dlatego nie wszyscy, żeby innych ratować, skaczą do wody. A wielu, coto czyni, przypłaca swoje bohaterstwo życiem.

Więc w danym wypadku nie chodziło o trochę dobrych, ludzkich uczuć. Tylko o bohaterską decyzję, która dla ratowania cudzego życia, naraża własne. Kto mógł ręczyć, że zbójcy odeszli i nie wrócą do swojej zasadzki, żeby na tem samem miejscu zaraz następną ofiarę ograbić? Gdy Samarytanin zdecydował się na akcję ratowniczą, która zabrała mu sporo czasu, i na oddanie rannemu wierzchowca, oraz odbycie dalszej drogi w wolnem tempie, zezygnował ze swoich szans, że sam bezpiecznie dotrze do celu podróży. Gdy to wszystko zważymy, będziemy Samarytanina tembardziej podziwiać. Natomiast kapłana i Lewitę będziemy może sądzić nieco łagodniej. Albowiem ci dwaj odbywali drogę pieszo i nie mieli oliwy, ani wina, ani środków opatrunkowych. Prawda, że z drugiej strony byli ziomkami i sługami świątyni. Gdy samarytanin był człowiekiem obcym, a nawet wrogiem.

Ale niechże nikt nie mówi, że kiedykolwiek na świecie było rzeczą bezsporną, kto w danym momencie jest naszym bliźnim i w jakiej mierze obowiązani jesteśmy okazać mu pomoc i na czem ta pomoc ma polegać. Albo, że dziś w tym względzie nigdy nie bywa żadnych wątpliwości. Póki istnieje w naszym słowniku słowo „obcy", pytanie kto jest, a kto nie jest obcy, wydaje się uzasadnione. Wszak odróżniamy wszyscy swoich i obcych, przyjaciół, towarzyszów, krewnych od wrogów, przeciwników i ludzi obojętnych. Chcąc twierdzić, że się żadnej różnicy nie czyni między człowiekiem, a człowiekiem, że się ma dla wszystkich bratnie serce i nigdy nie ustającą gotowość okazywania pomocy, trzeba być zakłamanym obłudnikiem. Raczej i wtedy i dziś uznawano zasadę, że „bliższa koszula ciału, niż kożuch". Nikt nie ośmieli się twierdzić, że chrześcijanie w tym względzie wcale nie są podobni do innych ludzi. Jakie zapory dawniej dzieliły żydów od pogan — wiemy. I jakie trudności musiał pokonać podróżny, który odbywał drogę w pomyślnych warunkach, jeżeli chciał pomóc innemu, który był w niebezpieczeństwie życia.

Nasze zapory i uprzedzenia i nasze trudności są poniekąd podobne, a poniekąd odmienne. Uprzedzenia rasowe i wyznaniowe są mimo wszystko, co by o tem można powiedzieć, dziś niewątpliwie znacznie mniejsze. Żadna religja i żadna doktryna dziś nie naucza, że dotknięcie człowieka, należącego do innej społeczności, zanieczyszcza. Natomiast powikłania życiowe są dziś zapewne większe. Dziś na jednym kilometrze kwadratowym mieszka nie pięciu ludzi, a stu. Wydajność ziemi wszelako nie wzrosła w tym samym stopniu. Z czego wynika, że walka o byt toczy się dziś z większą zaciętością, niż dawniej.

Nie potrzeba powtarzać rzeczy ogólnie znanych, związanych z obecnym kryzysem gospodarczym, w następstwie którego, miljony ludzi skazane są na życie bez jutra, pełne trosk, a niekiedy w skrajnej nędzy.

Wiemy, jak strasznie to życie demoralizuje. Że jednych prowadzi do występku, innych do kłamstwa i nieróbstwa, a jeszcze innych do nieznającego litości egoizmu i nienasytnej zachłanności. Tych mianowicie, którzy widząc beznadziejną sytuację innych, pragną się za jakąkolwiek cenę asekurować. Nigdy nie powiedzą: dosyć. Bo czyż można wiedzieć, co jutro będzie? Jeżeli nie zabezpieczymy się przezornie póki czas, to może i my będziemy cierpieć głód i chłód, albo dzieci nasze. Nadto sprawa niesienia pomocy potrzebującym wydaje się całkiem beznadziejna. Wyobraźmy sobie człowieka, który ma pewne zasoby i ma czułe serce i nie chce proszącym odmawiać. Taki człowiek nie zazna spokoju. Od rana do wieczora będą go nachodzić i u wrót jego żebrać. Ktoby nikomu z zasady nie odmawiał, mógłby w krótkim czasie rozdać majątek. By się po wydaniu ostatniego grosza przekonać, że ilość nędzarzy jest ta sama co przedtem. Albowiem nie ofiarność zwalcza nędzę, a praca. Zaś dostarczenie pracy wszystkim potrzebującym, przekracza siły najgenjalniejszego człowieka.

Nadto człowiek, który wpadł między zbójców, był istotnie godnym litości. Podczas gdy dziś wśród oblegających przytułki, ubezpieczalnie i wszelkie instytucje dobroczynne, bywa olbrzymi procent symulantów, nierobów, alkoholików i wyzyskiwaczy. Kto odróżni z nieomylną pewnością jednych od drugich? Jakże trudno jest dziś być miłosiernym Samarytaninem!

Jak widzimy, mąż, którego Pan stawia nam za wzór, miał nietylko litościwe serce, ale nadto odwagę, przytomność umysłu, umiejętność w ratownictwie, i odpowiednie środki i siły fizyczne. Kto dziś ma litościwe serce i przytomność umysłu wie, że trapiącą nasz świat nędzę masową, można skutecznie zwalczać tylko wspólnym wysiłkiem.

Żyjemy w wieku organizacji. Dziś wszyscy się zrzeszają. Bezrobotni, inwalidzi, malkotenci, wywrotowcy. Więc pragnący nieść pomoc i świat ratować, też powinni się zrzeszać. Wie o tem cały świat. Narody mają zorganizowane państwa, a uprawnienia i obowiązki dzisiejszych państw zdają się nie mieć granic. Dziś jednostka jest niczem. Zorganizowana masa — wszystkiem. Gdy więc przy drodze życia leżą w skrajnej nędzy miljony, to ratować ich muszą miljony Samarytan. Jeżeli nie będziemy mieli miljonów Samarytan, to zginą nietylko ci, których srogi los już powalił; zachodzi obawa, że zginą wszyscy.

Więc potrzeba nam miljonów ludzi, którzy mają przytomność umysłu i litościwe serce. Gdy tacy się znajdą w dostatecznej ilości, zdobędą się na akcję ratowniczą w wielkim stylu. Narazie wszelako mamy wrażenie, że dobrej woli i przytomności umysłu, a więc i poczucia odpowiedzialności mogłoby być trochę więcej. Solidarność wszechludzka wydaje się być wciąż jeszcze piękną utopją. A gotowość do ofiar na rzecz potrzebujących pomocy jest jeszcze bardzo niedostateczna. Oto jeżeli znaki na niebie i ziemi nie mylą, jesteśmy znów w przededniu krwawej wojny na jednym z lądów naszego świata. Ci, którzy po długich i sumiennych przygotowaniach pragną tę wojnę rozpętać, za-

pewniają, że to nie będzie napad z ich strony. Tylko wymiar sprawiedliwości i akcja ratownicza. W kraju napadniętym albowiem panuje niewolnictwo. Ta wojna będzie ku uszczęśliwieniu ludzkości. Jakież wzniosłe przemowy wygłaszają narody do swoich wrogów przed walną rozprawą na śmierć i życie. Jeżeli nie stanie się w ostatniej chwili cud, Czarny Ląd niebawem spłynie krwią. A egzekucja ta nastąpi przy kłopotliwem milczeniu tak szlachetnej instytucji, jak Liga Narodów. Pomimo, że wszyscy zdają sobie sprawę z powagi chwili. I dobrze wiedzą, że rozpętanie wojny przy obecnym stanie świata może być rzuceniem płonącej żagwi do arsenału, w którym nagromadzone są całe góry dynamitu.

Czyżby nad światem władzę miały moce burzycielskie, a nie miłość Samarytanina, Dobrego Pasterza, Pocieszyciela maluczkich i smętnych?

Osobliwego wrażenia doznajemy, słuchając w kościołach i poza kościołami patetycznych i ckliwych mów o miłości i widząc, co jednocześnie czynią ręce. Jakże dalecy jesteśmy od miłosiernego Samarytanina! Jeżeli instynkt samozachowawczy nie każe nam wspomagać i ratować, czy jest nadzieja, że będziemy ratować i wspomagać z miłości?

Jakie podobieństwo powiedziałby Pan naszemu pokoleniu? Czy nie raczej o ludziach, odbywających podróż na tonącym okręcie, którzy zamiast wspólnemi siłami statek ratować, załatwiają między sobą krwawe porachunki? Czy nie nawoływałby przedewszystkiem do otrzeźwienia, do przytomności, a potem do wielkiego solidarnego wysiłku pod hasłem: w szczęściu wszystkich są wszystkich cele?

Jaka jest nadzieja, że będziemy miłować bliźnich, jeżeli samych siebie nie miłujemy? Dziś nie chodzi o jałmużnę. Dziś chodzi o najprostszy obowiązek. Czy wobec bliźnich? Więcej: wobec samych siebie. Jeżeli ktoś samego siebie nie miłuje, to jakże będzie miłować brata swego?

Zakończmy w imieniu własnem i ślepotą rażonej ludzkości westchnieniem ślepca z Ewangelji: „Spraw, Panie, abym przejrzał".

X. E. W.

15 lat na placówce publicystycznej

(15 lecie Głosu Ewangelickiego)

Przed piętnastu laty, w pierwszą niedzielę października ukazał się pierwszy numer „Głosu Ewangelickiego".

Nie ucichły jeszcze bitewne, a głośne echa wielkiej wojny, a tembardziej wojny z bolszewikami. Na Górnym Śląsku i na Mazurach szykowały się rozgrywki polityczne. W kraju wrzało od sejmowania, i politykomanja święciła wielkie tryumfy. Do Kościoła naszego z głośnym hałasem wdzierała się polityka prowodyrów łódzkiej hakaty, podsycana przez czynniki zagraniczne, tak, że nawet najdzielniejsi i najbardziej orjentujący się mężowie kościelni tracili równowagę. Tylko gorącej wiary jednostki w społeczeństwie ewangelickiem w Polsce nawoływali do spokoju i do jedności, a wśród nich wyróżniał się szlachetny głos ks. Wolgemutha, Niemca, pastora staroluterskiej parafji w Toruniu, który między innemi w swej odezwie do wyznawców kościoła Ew.-Augsb pisał: „W Kościele Luterskim musi być miejsce dla wszystkich narodów, języków i narzeczy".

Ale silniejsze były czynniki te, które jednoczeniu się i brataniu kościołów były przeciwne.

Z prasą ewangelicką wogóle, a tembardziej z prasą polsko ewangelicką w kraju było słabo. — W Warszawie wychodzący miesięcznik, a potem dwutygodnik „Ewangelik" — zaczynał ustawać; wychodzący na Śląsku Cieszyńskim „Poseł Ewangelicki" — do Polski środkowej nie docierał. Nawet tygodnik niemiecko-ewangelicki: „Unsere Kirche" wegetował, aż wreszcie zaprzestał całkowicie wychodzić.

W takich warunkach powstał *Głos Ewangelicki* — i zaczął ukazywać się regularnie jako tygodnik.

W Nr. 1 Głosu Ewangelickiego, objętości bardzo skromnej, taki znajdujemy na wstępie anons od Redakcji:

„Pierwsze i jedyne pismo tygodniowe w b. Królestwie Kongresowem, popularne, polskie, w duchu zasad Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego redagowane, znaleźć się powinno w każdym domu ewangelickim... Pismo to z pobudek czysto ideowych jest wydawane". A dalej na str. 2 tak we wstępnem słowie od Redakcji czytamy:

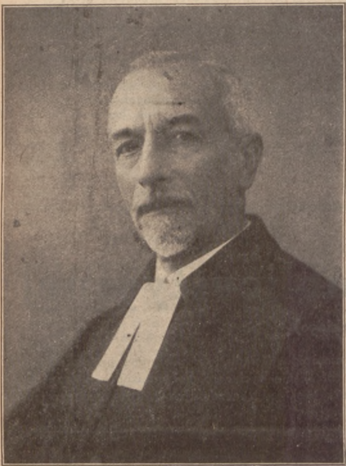
„Nie rościmy pretensji do doskonałości. Pragniemy tylko wypełnić zadanie, sobie wystawione — sumiennie i uczciwie. Liczymy się przytem z wszelkiemi możliwościami i niemożliwościami. Z wszelkiemi przeszkodami, a nawet niechęcią tych współwyznawców, którzy ani chwili dziejowej, ani znaczenia słowa drukowanego zrozumieć nie chcą, lub nie mogą. Liczymy się nawet ze stratami materjalnemi. Ale uznajemy, że nie wszystko trzeba obliczać na złoto. Są rzeczy, które stoją ponad



Ks. Senjor Feliks Gloeh.

rublem i marką, ponad kwartą, łokciem i wagą. A niestety, o tych rzeczach, dotyczących ducha ludzkiego, często zapominamy.

„Wierzymy mocno, że pomimo wszystko, znajdzie się pewna ilość ludzi ideowych, którzy nas w pracy



Ks. Radca p. A. Loth.

popierać zechcą i będą. Bowiem w tych czasach tworzenia się rzeczy nowych, w czasach wielkiej zmiany i przemiany — więcej, aniżeli kiedykolwiek, odczuwa się bardzo brak pisma polskiego, częściej wychodzącego, przez które my, ewangelicy, porozumiewać się byśmy mogli. Dziś więcej, aniżeli kiedykolwiek, należy stworzyć placówkę, któraby wszystkich wyznawców Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego łączyć mogła. Taką placówką pragnie być „GŁOS EWANGELICKI".

* * *

Że pismo takie było bardzo potrzebne, niechaj posłuży za dowód to, że zaraz zyskało i czytelników i współpracowników i przyjaciół, którzy zachętą, dobrem słowem i pieniężną ofiarą wspierali i pismo i jego redaktora w pierwszym i to najtrudniejszym okresie istnienia. Pierwsi współpracownicy, względnie autorzy, którzy drukowali swe prace i artykuły w Głosie Ewangelickim byli:*) ś. p. ks. Rudolf Gundlach z Łodzi, ks. prof. Edmund Bursche, ks. J. Tytz z Sosnowca, ks. St. Stegman z Łowicza, pan Stefan Wojak z Częstochowy, ks. M. Rüger z Warszawy, ks. Karol Banszel — obecnie proboszcz wojskowy we Lwowie, ś. p. ks. Superintendent W. Argerstein z Łodzi, ś. p. prof. J. Kvaczala z Bratisławy (Czechosłowacja), ś. p. Karol Bibrych z Warszawy, ks. O. Krenz, obecnie w Warszawie, prof. J. Wałach ze Lwowa, p. Janina Keppe z Łodzi, pan Paweł Hulka-Laskowski z Żyrardowa, Inż. Peitsch, obecnie z Bydgoszczy, ks. Rudolf Schmidt z Pabianic, ks. Karol Michejda, obecnie profesor w Warszawie. ks. radca A. Loth, ks. R. Diem z Kleszczowa, p. W. Strumpfówna, b. dyrektorka seminarjum w Warszawie, ś. p. O. Froehlich, kantor w Łowiczu, ks. S. Froehlich, pastor obecnie w Lublinie, ks. L. Wojak z Częstochowy, ś. p. major Otton Gloeh z Poznania, p. E. Znajkus, nauczyciel z Piotrkowa, p. St. Mietke z Warszawy, ks. F. Kreutz z Sompolna, ks. T. Zirkwitz z Białegostoku, ks. Biskup J. Bursche, pan W. Rechtsiegel, ks. dyr. A. Rondthaler i inni.

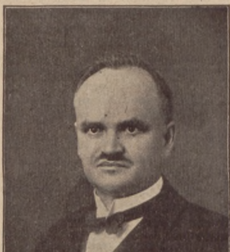
*) W porządku chronologicznym.

To jest lista współpracowników, względnie autorów, którzy w ciągu niespełna jednego roku zdążyli się skupić dokoła Głosu Ewangelickiego i zamieścić w nim cały szereg artykułów, naukowych, popularnych i polemicznych, korespondencji i różnych enuncjacji.

Z biegiem czasu przybyli jeszcze inni, których tu z braku miejsca wymieniać z nazwiska nie możemy. Ale każdy, kto Głos Ewangelicki czytuje, doskonale o tem pamięta i wie. Prócz tak silnego poparcia ideowego, Głos Ewangelicki zyskał odrazu i poparcie materjalne, i to dość wydatne, od wielu życzliwych ewangelików ze wszystkich stron Polski. — Pierwsi pośpieszyli z ofiarami na wydawnictwo parafjanie żyrardowscy, a następnie warszawscy; następnie wiele ofiar wpłynęło z par. piotrkowskiej, a wśród tych ostatnich wymienić należy ofiarę, zebraną przez uczniów-ewangelików szkół piotrkowskich. Potem przyszła kolej na polskich ewangelików w Łodzi. Wśród ofiarodawców z wdzięcznością wspominamy tych, którzy przez całe lat 15 utrzymali swój stosunek życzliwości do Głosu Ewangelickiego, w szczególności: ks. dyrektora Juljana Machlejda, pana pułkownika J. Kuciela z Krakowa, p. L. Radke z Łodzi, pana Dr. Jana Wedla, pana mec. Jana Hejman. Osoby te, może same nie wiedzą, że w najtrudniejszych czasach przyczyniali się wydatnie do podtrzymania egzystencji naszego czasopisma.

* * *

W pierwszej połowie 1923 roku skupia się przy Głosie Ewangelickim młodzież. Pierwszy Zjazd Młodzieży Ewangelickiej, zwołany i odbyty w Warszawie dnia 31 października 1921 roku poruszył młodzież warszawską, która odtąd poczęła szukać sposobu za pośrednictwem Głosu nieprzerywania zadzierzgniętej łącz-



Ks. Prof. K. Michejda.

ności, i współpracowała w nim i to dość wydatnie. Dziś ta młodzież jest dawno na swych stanowiskach. Wśród niej znajdowali się obecni pastorzy: ks. Galster w St. Iwicznie, ks. Figaszewski i ks. Kahane w Katowicach, pan Stefan Mietkie, pan Edmund Pinkwart, panna Janina Widigerówna, panna Wanda Georgensonówna, panna Wanda i Marja Tschirschnitzówny, panna Zofja Kowalewska, p. E. Sztyler. Młodych poparli starsi, a wśród nich: pan senator J. Evert i pan Wilhelm Mietke. — Stworzono spółkę wydawniczą z kapitałem 4000.000 marek polskich. Ale nim spółka zaczęła działać, marka w krótkim czasie została zdewaluowana do minimum, a wkrótce potem przewalutowana w stosunku 1800.000 mk. = 1 złoty. — Spółka wydawnicza „Logos" nie została formalnie rozwiązana, i aczkolwiek nie rozwija żadnej działalności, po dzień dzisiejszy podpisuje, jako wydawca Głos Ewangelicki. — Podajemy to dla ścisłości historycznej. Być może, że jeszcze ożyje myśl ewang. towarzystwa wydawniczego, które nam, ewangelikom polskim, bardzoby się przydało.



Ś. † P. Ks. Prof. K. Serini.

* * *

1 lipca 1924 roku następuje pewna zmiana w redakcji pisma.

Do redakcji wchodzą oficjalnie wybitniejsi przedstawiciele protestantyzmu polskiego: wszyscy profesorzy Wydziału Teologji ewang., oraz szereg księży pastorów z Warszawy i z prowincji, oraz wiele wybitnych osób świeckich. Inicjatorem tej reformy i głównym jej orędownikiem był niezapomniany ś. p. ks. prof. Karol Serini. On rozumiał znaczenie tej placówki prasowej i potrafił przekonać kogo należy o potrzebie skupienia się liczniejszych i szerszych sfer dokoła Głosu Ewangelickiego. Na czele, jako naczelny redaktor, stanął ks. radca August Loth.

Taki stan rzeczy trwa bez przerwy do roku 1928, kiedy stanowisko naczelnego redaktora zajmuje zamiast ks. A. Lotha — ks. prof. Karol Michejda, a wkrótce potem — wraca znowu na swe pierwotne miejsce redakcyjne i pozostaje redaktorem do chwili obecnej piszący te słowa, który naturalnie przez cały i poprzedni okres czasu, bez przerwy był faktycznym redaktorem „Głosu Ewangelickiego".

I tak mija rok za rokiem, w sumie lat piętnaście. Nie jest to okres dla przeciętnej dziedziny pracy zbyt doniosły lub długotrwały. Ale dla pracy dziennikarsko-publicystycznej i to polsko-ewangelickiej — nie jest to wypadek zbyt częsty. Był to przytem okres pracy nad wyraz trudnej, odpowiedzialnej. Trzeba było dużo i odwagi cywilnej i narażania się tej i owej wysoko stojącej osobistości, trzeba było godzić się z przyjaciółmi nowymi, a rozstawać się ze starymi. Ile zarzutów, ile uwag, ile dobrych i mądrych rad trzeba było w ciągu tego czasu przyjąć lub odrzucić! Na ile pokus ponętnych było się narażonym!

„Głos Ewangelicki" starał się wytrzymać linję, po której szedł, i idzie prosto do celu, nie zważając na nic i na nikogo, gdy chodzi o jedno — o *prawdę*.

Dziś „Głos Ewangelicki" spogląda wstecz na okres piętnastolecia swego posłannictwa — ze spokojem. Nie prowadził nigdy interesów, nie kupczył nigdy swą ideologją; o tem może pisać dziś publicznie z całą świadomością, że się może narazić na zarzut samochwalstwa. Ale ci czytelnicy i ci współpracownicy, którzy od początku znajomość z Głosem Ewangelickim zadzierzgnęli — ci są tego najlepszymi i najbezstronniejszymi świadkami.

I dziś, jak w swoim pierwszym numerze przed piętnastu laty, możemy powtórzyć podstawową zasadę naszego wyznania w społecznej pracy publicystycznej, oddając do rąk Czytelnika niniejszy numer jubileuszowy:

„Nie dla zysków materjalnych, nie dla ambicji osobistych, ale dla naszego dobra wspólnego, w Imię Boże, to dzieło w tak trudnych warunkach bytu rozpoczynamy i kończymy swój wstępny artykuł słowami jednego z wielkich mężów Rzeczypospolitej, że robimy to:

„Nie z roli, ani z soli, ale z tego co mnie boli".

X F. G.

KS. SENIOR K. KULISZ. Cieszyn.

Głos ewangelicki i słowo

„Marzenie żyw marzeniem
O serce! — to twój dział!
Wieczność ci wróci z stokrotnem zdziwieniem
Ziarno, któreś w tęsknocie siał".

Zegadłowicz.

I.

Piszę to na wezwanie. Nie pisałbym bez wezwania, bez upoważnienia.

Między nielada dziejowemi prądami naród nasz dźwiga odrodzone państwo: od granic komunizmu do krzyża swastycznego nasza przestrzeń. Zadanie zbyt trudne w tem sąsiedztwie ostać się siłą, która zasadniczo polega na *tradycji* swoistych polskich narodowych elementów. Nie chcemy być faszystami, ani komunistami, tylko Polakami. Nie Polakami romantycznymi, ale dobrze gospodarzącymi w nowej erze kryzysów i chwytów, postępowymi we wszystkiem, i morze ma nam pomóc w daleki świat i obudzić wiele możliwości i zdolności, i armia się nikogo nie ulęknąć, — państwo z respektem. — Dobrze! Ale —

„Cóż wy możecie ludowi wieścić i co wojownikom?
co Mogile? co dziejom? wy klnący Rapsodom!
i co rzekniecie gwiazdom, tym pątnikom?

wy z błot, nie z Kartagin! z błazeństw marnych Sodom!
cóż wy wskażecie w Tatrach orłom — zachmurnikom?
a cóż wy rzekniecie ludziom fabryk — młota"?

(Tadeusz Miciński)

Bardzo potężnie musi wybuchnąć jakieś źródło w tej tradycji narodu, która winna przekonać i pokonać wielkie nowe prądy sąsiedzkie tak dalece, aby przed nią — stop!

2.

Stoimy w drzwiach nowej ery, której nie znamy, a którą mądrzy prorocy analizują już jako upadek cywilizacji zachodu. (Spengler i t.d.)

Ale chrześcjanin ma w sobie przeczucie Świtu. Kiedyżby, jeżeli nie dziś! — Nie wątpimy, że idzie historja Kościoła większa jeszcze niż ta z przeszłości. — Rośnie gdzieś pieśń nowa.

„O, ziemio, ziemio! ocknij się i mów!
Wstań! zadrżyj! zbudź się!
Pieśń *ostatnią* stwórz!"

„Wszystkim rozstajom jest na imię: bezkres!" a więc i takim, jakie reformacja wywołała.

Nasz głos ewangelicki w narodzie polskim nie będzie dziś wyszukiwał sporów wyznaniowych z katolicyzmem. „Mamy do siebie żal — za tamto i za owo— czasem poprostu: za dal, — częściej za słowo". Rozstaliśmy się — i to chyba na wieczność, bo duże strony sprawy Bożej są poprostu duże stony z samego założenia istoty sprawy. To rozstanie się nie jest więc na śmierć, ani jednemu ani drugiemu, ale na pożytek — Nas, ewangelików, jest dosyć w narodzie naszym. Miliony są, które mają w naszym narodzie nasz światopogląd, choć należą do kościoła rzymskiego Kościół rzymski niemało skorzystał z kościoła protestanckiego, a raczej z elementów ewangelicznych, — czy kościół protestantów może być mniej postępowym — nieraz to tak naprawdę wyglądał — i może mniej skorzystać z kościoła katolickiego, — a raczej czy może — mimo purytanizmu — mieć mniej wyrozumienia dla elementów ewangelicznych w katolicyźmie? — Skoro dziś między samymi protestantami z jednej strony jest w wielu wypadkach głębsza przepaść, niż pomiędzy ewangelikami a katolikami z nazwy i skoro taksamo ma się rzecz po drugiej stronie katolickiej: czyż sprawy naszego okresu zalecają nam polemizowanie, choć dla niektórych działaczy jednej i drugiej strony zda się być właściwym warunkiem zadań i życia kościołów?

„Jakże temu wszystkiemu daleko do godów, które zostawił Chrystus w nas!"

Raczej „plon wieczności trzeba nam zanieść w dani".

3.

Trafnie pisze ktoś, że państwa dzisiejsze za mało wczuwają się w rytm duchowy geniusza ery naszej. — Jeżeli tak jest, byłaby to jedna z najważniejszych przyczyn kryzysu, a w skutku: zajechaniem z wozem w bagno. — Tajemnicą wielkiej władzy geniuszów narodów jest uosobienie w nich rytmu życia danego narodu.

My w kościele niemniej winniśmy zauważyć, że znaczenie i powodzenie naszych nabożeństw zależne jest od pewnego rytmu całego nabożeństwa, który nas nietylko, a nawet nietyle świadomie, ile podświadomie łączy z falami chwały Bożej, jaka tętni w całem objawieniu Bozem. Niech sobie nie imaginują, że nasi nabożni i wierni zbudowani są *tylko tem*, co im w kazaniu zostanie wyeksplikowane, powiedziałbym: wyracjonalizowane i wyegzegezowane, wyapologezowane. Więcej i głębiej działa cały nastrój, czyli cały „rytm" nabożeństwa, jaki wytwarza się z śpiewu, z całego powiewu ducha, wytworzonego nietylko kazaniem, ale przez wszystkich uczestników nabożeństwa, przez daną chwilę i jej różne okoliczności. — W racjonalizacji religji — a i nabożeństwa — poszedł protestantyzm stanowczo za daleko. Jest jego zasługą, że rację postawił na straży tych rzeczy, aby nie pobłądziły, ale stróż winien pamiętać, że nie jest rzeczą, której strzeże.

Dziś głos ewangelicki będzie miał niemniejszą wagę niż słowo ewangelickie. Na tezę jest antyteza, ale na głos, w którym drga prawda i miłość? Głos jest rytm. Niech rytm ten popłynie na fali ducha prawdy i miłości w naród i złoży się na on wielki szum, o którym prorok starozakonny mówi, że poruszył się lud, jak szumią drzewa w lesie.

4.

Pieśń nowa, jaka powinna w kościele rosnąć, jest zawsze owa pieśń, że godzien jest Bóg i Pomazaniec Jego wziąć chwałę i moc i królestwo i mądrość. Spiewają to starsi wokoło stolicy Bożej i Barankowej, i one żyjące istoty i onych tysiąckroć sto tysięcy i dziesięćkroć sto tysięcy wybranych i wojska niebieskie i nieprzejrzane rzesze. I śpiewają, że już są uczynieni Bogu królmi i kapłanami i że królować będą na ziemi.

To jest głos Ewangelji: Przybliżyło się Królestwo Boże.

Znajdzie ten głos wiarę, bo mówi o prawdziwem szczęściu.

„Chodź i śpiewaj i mów
i noś tę wieść wonną i świeżą,
że szczęście zakwit'o znów,
wszyscy skwapliwie uwierzą.
Więc mów, że idzie Syn Boży,
że zmaże nędzę i troski,
że nowy świat się otworzy
nad wyraz ludzki i boski."

Tę starą prawdę proroków starozakonnych i apostołów Chrystusowych trzeba nam umieć głosić dziś nowym sposobem. Wielkiej pracy ducha będzie to wymagało: gruntownych znajomości dzisiejszych warunków i sposobności i pojęć i możliwości. Ale leniwe mamy zazwyczaj serca ku uwierzeniu i gruntownemu naukowemu przerobieniu tej materji. Wolimy to powtarzać, w najlepszym razie, tylko starym sposobem zamiast szukać nowego języka dla starej prawdy i nowych sposobów jej głoszenia.

Zawsze nowe czasy mają *nowy język*, a w słowie, które sobie wyrobią, ujęta bywa stara prawda na nowo. *Ujęty bywa Bóg na nowo.* Nie możemy się zadowolić, że Abraham ujął Go, że ujął Go Jan Chrzciciel i Swięty Paweł i Sw. Augustyn i Luter. My winniśmy Go ująć dziś nanowo.

Jakież przeogromne zadanie nas czeka, gdy pomyślimy o czasach Mojżesza, Jana Chrzciciela, Apostołów, wielkich soborów kościelnych, misji śród pogan, Reformacji.

„Zasnęliście, bratowie,
czemuż nie czuwacie?
Bóg oto rodzi się w słowie,
na Bożej stójcie czacie!
Sen was zmógł,
sen ciężki nieprzytomny
a oto z bliskich i z dalekich dróg
cud idzie przeogromny.
Znużyły was zabiegi
o codzienność waszą,
wybieracie noclegi,
woląc sny, jawy was straszą!
Czuwajcie! — Sen was mami!
czuwajcie, bo oto
ponad dni ugorami
przyjdzie On wymodlony odwieczną
[tęsknotą".

(Zegadłowicz.)

PROF. KS. KAROL MICHEJDA. Warszawa.

Jako równi

Widzieć przed sobą piętnaście lat, spędzonych wśród pracy, to już coś znaczy. Nie chodzi o to, żeby powiedzieć: masz piętnaście lat pracy poza sobą, możesz iść i spocząć; ale winieneś przypatrzyć się, jak to pracowałeś i jak to błądziłeś; pociągnąć linję od początku do końca, zestawić krańcowe punkty, zesumować, co trzeba, i odciągnąć, co trzeba; i z tego, coś przeżył w latach minionych, masz się uczyć na lata przyszłe. Dość już, jeżeli zdołałeś brogi napełnić; wystarczy to, chociażby nawet długa zima miała zmrozić wody, pola i umysły.

Piętnaście lat pracy przy „Głosie Ewangelickim", to nie tylko taka i taka ilość wypuszczonych numerów, ilość artykułów i wiadomości, taka lub inna ilość spraw poruszonych. To równocześnie jest pewne grono ludzi, które już nie przez piętnaście minut, ale przez piętnaście lat, wśród pogody i w deszczu, w słońcu i w burzy, z przyjaznym uściskiem dłoni, a nieraz także w krwawiącem serce zmaganiu szło razem. Piętnaście lat to żniwo może skromne, może też śpichrze rozpierające, to równocześnie zasiew, który ma rość, rozpleniać się, chwasty głuszyć, kwieciem lśnić.

A to wszystko było w czasie, kiedy się Polska zaczęła na nowo budować. Kiedy było trzeba ziemię i serca do radosnego, a nieraz twardego współżycia jednoczyć. Czasy pierwszych słonecznych dni i pierwszych poślubnych burz. Ci, którzy wówczas stali w pracy, mogą już opowiadać dzieciom i wnukom.

A działo się to tu, w Warszawie. Byliśmy wpatrzeni już nie w Petersburg, nie w Wiedeń i nie w Berlin, ale wpatrywaliśmy i wsłuchiwaliśmy się w to, co się dzieje w naszej stolicy, w Warszawie, w jej urzędach, na jej ulicach i błoniach. To wymagało nowego nastawienia myśli i serc. Z roli spychanych i upośledzanych w państwach obcych zostaliśmy powołani do rządów i rządzenia się we własnem państwie.

A było wtenczas wiele rzeczy nowych. W tej chwili myślę o ewangelickiem duszpasterstwie Wojsk Polskich. Nie było tego w pierwszej Polsce, w Polsce przedrozbiorowej, mamy to dziś. W pracy kościelnej obok ewangelickiego duszpasterstwa cywilnego staje duszpasterstwo wojskowe, ze swojem szczególnem stanowiskiem i szczególnem zasięgiem pracy. Ks. pułkownik senior Feliks Gloch w Warszawie nadto jednoczy w swojej osobie szefowstwo ewangelicko-augsburskiego duszpasterstwa wojskowego oraz stanowisko redaktora pisma kościelnego, „Głosu Ewangelickiego". Kto czuwa, ten wie, ile poważnych publikacyj wyszło już z tłoczni „Głosu Ewangelickiego" tam przy ul. Puławskiej, wśród poszumu topoli, w cieniu odnowionego ewangelickiego kościoła garnizonowego i skromnej ewangelickiej plebanji wojskowej. Kto czuwa, ten wie, jakie gwarancje i jakie możliwości tkwią w ewangelickiem duszpasterstwie wojskowem.

Cała zaś praca ta szła po linji Kościoła ewangelicko-augsburskiego, tego kościoła reformacyjnego, który w imię Jezusa Chrystusa, jedynego Pana dusz, zrywając z wszystkiem tem, co w jego zrozumieniu jest niezgodnem z Ewangelją o Jezusie Chrystusie, przecież z tradycyjnych nauk i urządzeń zachował to, co zgodne jest ze czcią Jezusa Chrystusa. Praca szła po linji wytkniętej przez ś. p. ks. D-ra Leopolda Otto i przez jego „Zwiastun ewangeliczny".

Do tej pracy weszliśmy także my ze Śląska, zwłaszcza ze Śląska Cieszyńskiego; my rozpraszający się dziś po Polsce, tak jak ongiś odmiennie myślący Cieszyniacy rozpraszali się po Austrji. Weszliśmy w Rzeczpospolitą Polską i weszliśmy do Kościoła ewangelicko-augsburskiego w Polsce. Weszliśmy doń dobrowolnie, zostaliśmy przyjęci na własną prośbę.

W imię prawdy należy jednak przyznać i nie należy tego taić, że nasze duchowe wejście w Kościół ewangelicko-augsburski w Polsce nie było tak łatwe i tak proste, jakby się temu i owemu mogło wydawać.

Niezupełnie łatwe i niezupełnie proste. Przez sześć wieków poza granicami Polski! Ileż to zdarzeń i zderzeń przeszło i przewaliło się tymczasem przez świat i przez Polskę! Wystarczy to jedno tylko wymienić: Reformacja wieku 16. Przeniknęła ona Śląsk, podobnie jak Prusy Wschodnie, i ostała się tam. Do Polski też wkroczyła; ale tu poza małemi wyjątkami, głowniami niedopalonemi, zgasła. Weszli przywołani przez Polaków i nie Polaków koloniści i rękodzielnicy, później przemysłowcy niemieccy, wyznania katolickiego i ewangelickiego.

Gdy my weszliśmy, radością nam było, że znaleźliśmy kościoły ewangelickie, i dokądkolwiek udawaliśmy się i udajemy się, wszędzie w sferach ewangelickich w Polsce spotykamy bliskich nam współwyznawców, drogich, serdecznych przyjaciół, pracowników na tejsamej niwie, o temsamem tętnie serc, o tymsamym celu na ziemi i w niebie. Przewodnicy Kościoła i przewodnicy Zborów na pierwszem miejscu. Weszliśmy w ich szeregi, sprzęgliśmy się z nimi, na życie i śmierć! Bywało, że próbowano grono współpracujących rozerwać. Prób zaniechano. Warszawa przodowała, „Głos ewangelicki" ze swej strony czuwał.

Trudności powstawały i istnieją właściwie jedynie wobec ewangelików Niemców. Jedna trudność wynika z samego tego faktu, że jesteśmy. Za granicą są jeszcze tacy, którzy nic nie wiedzą o Polakach ewangelikach. I u nas w Polsce wielu długo nie mogło się pogodzić z tem, że jesteśmy i to jesteśmy we wszystkich istniejących poszczególnych ewangelickich kościołach w Polsce; nietylko w augsburskim i w reformowanym, ale także w obu Kościołach Unji, tzn. w Poznańskiem i na Pomorzu, oraz na Górnym Śląsku i w kościele Małopolski, że mimo rozgraniczeń organizacyjnych tworzymy przynajmniej w idei jeden polski kościół ewangelicki; że chcemy żyć i jako Polacy wejść w pracę na wszystkich odcinkach życia społecznego.

Szczególne trudności piętrzą się, gdy chodzi o organizację Kościoła i o stosunek Kościoła do Rzeczypospolitej Polskiej. Malały one i przygasały w miarę, jak państwo się wzmacniało.

Weszliśmy do Polski i do Kościoła ewangelicko-augsburskiego w Polsce, jako równi w prawach i równi w obowiązkach.

Jeżeli chodzi o trudności natury wyznaniowej i organizacyjnej, na każdym kroku przypomina się wyjście, jakie znaleziono w dobie reformacji na Synodzie Sandomierskim w r. 1570. To, co tam zrobiono, to widać płynęło z głębokiego poczucia religijnego, kościelnego i obywatelskiego.

Byliśmy zawsze wdzięczni N. P. W. ks. Biskupowi Dr. Juljuszowi Burschemu za wydanie cennego dzieła hr. Walerjana Krasińskiego: „Zarys dziejów powstania i upadku reformacji w Polsce". Warszawa 1903. Tam w I. tomie na str. 237 i następujących czytamy „Akt połączenia w sprawie religji między kościołami ewangelickimi" augsburskim, czeskim i szwajcarskim (reformowanym).

W sprawie Wieczerzy Pańskiej zgodnie powiedziano: „Nie twierdzimy, aby chleb i wino były tylko czczymi symbolami: uznajemy owszem, iż wierzącym dają i w istocie przez wiarę udzielają tego, co znaczą. Ażeby przedstawić rzecz jaśniej i dokładniej, zgodziliśmy się wierzyć w istotną obecność Chrystusa w komunji dla tych, którzy ją przyjmują. Tak więc ciało i krew Pana naszego istotnie udzielane są pod postacią chleba i wina, a zatem, zgodnie z istotą sakramentu, nie należy takowych uważać tylko za wyobrażenie ciała i krwi Chrystusowej". — „Dla pewniejszego zatwierdzenia tej świętej, wzajemnej naszej umowy uznajemy prawowierność kościołów saskich (t. zn. „augsbur-

skiego") z takąż miłością chrześcijańską, z jakąż oni uznali za prawowierne wyznania nasze i Braci czeskich".

Ugoda Sandomierska z r. 1570 umożliwiła daleko idącą współpracę. Charakterystyczne jest to, że Ugoda Sandomierska w sprawie pojmowania Komunji nachyliła się do stanowiska luterskiego. Na tą Ugodę ewangelicy w Polsce, augsburscy i helweccy powoływali się aż po rozbiory Polski i nawet długo w wiek 19. Ś. p. ks. Dr. Leopold Otto budował na niej.

Unja pruska z r. 1817 raczej nachyliła się do kalwińskiego albo nawet, zwingljańskiego pojmowania Wieczerzy Pańskiej. Nic dziwnego, ze ewangelikom w Polsce, pochodzącym z Kościoła Unji pruskiej, czy w Poznaniu, czy w Katowicach, czy w Stanisławowie trudno jest zorjentowcć się w sprawach polskiego ewangelicyzmu.

Ugoda Wileńska (Consensus Vilnensis) z r. 1926, stwarzając Radę Kościołów ewangelickich w Polsce, z naczelną zasadą niewdawania się jednego kościoła w sprawy wyznaniowe i organizacyjne drugiego, niestety o Ugodzie Sandomierskiej (Consensus Sandomiriensis) jak gdyby zapomniała. A dziwna rzecz! Stało się to w okresie, kiedy trochę ryczałtowym sposobem mówi się o nawrocie do tzw. sakramentalizmu.

Ugoda Sandomierska! Miniona przeszłość czy cel? Jako równi stanęliśmy do współpracy. Po przebytej chociażby częściowej pracy, cicha radość wieńczy trud. Do pracy stanęli już nowi, młodzi pracownicy. Wierzymy, że pracując na różnych odcinkach i w różnych dzielnicach, a niekiedy jak gdyby nawet w różnych obozach, przecież razem jesteśmy. „Głosowi Ewangelickiemu" Bóg niech da, by był czystym wyrazem naszych najświętszych i najgłębszych uczuć, pragnień i dążeń.

Ks. Karol Michejda.

Warszawa, 20. września 1935 r.

KS. PROF. KESSELRING — Warszawa.

Znaczenie psychoanalizy i psychologji indywidualnej we współczesnym systemie wychowczym

I.

(Referaty wygłoszone w Cieszynie 27-29 sierpnia 1935 r. na Kursie Pracowników wśród Młodzieży Ewangelickiej w Polsce).

W ostatnich kilkudziesięciu latach — zwłaszcza jednak w okresie po Wielkiej Wojnie — dwie dyscypliny ogólnej wiedzy, dwie gałęzie nauk ogromnie postąpiły naprzód i z gruntu zmieniły nasze poglądy na istotę wielu zagadnień. Temi dyscyplinami są: fizyka i psychologja. Możemy wprost mówić o złotym okresie rozwoju jednej i drugiej nauki. Psychologja, która tym, którzy lat temu 30 się nią zajmowali, przedstawiała się jako wiedza nawskroś teoretyczna, abstrakcyjna i nudna, dziś należy do najciekawszych przedmiotów wiedzy i poznania ludzkiego. Wielu u nas, którzy się do starszej generacji zaliczaja, pamiętają dobrze o tem, z jaką niechęcią i trudem umysł i pamięć przyswajały sobie definicje, określenia suche, niby prasowane rośliny w herbarjum. Dziś psychologja poniekąd stanowi podstawę wielu nauk, zwłaszcza filozofji, teologji i pedagogiki. Z nauki wybitnie abstrakcyjnej przedzierzgnęła się w naukę opartą na poglądach i doświadczeniach. Dawna teoretyczna psychologja ze swemi formułkami o woli, poznaniu, uczuciu i t. p. ustąpiła miejsca psychologji doświadczalnej, psychologji dyferencjalnej (różnic indywidualnych), psychologji głębi, masy, religji, parapsychologji, psychologji indywidualnej i psychologji analitycznej czyli psychoanalizie. Z temi dwiema ostatniemi dziś nietylko psycholog, lekarz i sędzia, ale i teolog, wychowawca i nauczyciel obeznani być powinni. Można bowiem uważać to za rzecz pewną, nie podlegającą żadnej dyskusji, że zasady i prawa zarówno psychanalizy jak też szczególnie psychologji indywidualnej znajdują obecnie, i w przyszłości w wyższym jeszcze stopniu znajdą, zastosowanie w pracach duszpasterskich i wychowawczych. One bowiem mają do czynienia z niejednym kierunkiem życia psychicznego, od normalnego i zdrowego typu aż do wypaczonego i patologicznego. Jeśli praca praktyczna kościoła katolickiego w pewnych dziedzinach wydaje bogatsze wyniki od n. p. pracy kościoła naszego, to jest to niezawodnie owocem głębszej znajomości duszy ludzkiej z jej ciemnemi i jasnemi stronami, jego umiejętności wyczucia, co w danej chwili tej duszy trzeba dać jako podnietę, pociechę i — co jest najważniejsze — jaki należy wskazać dla niej kierunek,

Jakkolwiek pierwsze prace twórcy psychoanalizy, lekarza Wiedeńskiego Zygmunta Freuda, ukazały się w r. 1899, a więc kilkanaście lat przed Wielką Wojną, to jednak dopiero ogromne wstrząsy, których świat cały doznał i przeżywał w latach 1914—1920, wykazały, że psychoanaliza bynajmniej nie jest jakimś wymysłem, który wylągł się w głowie jakiegoś tam lekarza, lecz niedoskonałą wprawdzie jeszcze, metodycznie nawet w wielu wypadkach błędnemi argumentami i środkami posługującą się dyscypliną psychologiczną, ale gałęzią psychologji ogólnej niezwykle doniosłą i poważną. Wojna światowa sprowadziła wprawdzie bezmiar nieszczęść i niedoli na cały ród ludzki, na zwyciężonych i zwycięzców! W niejednem jednak okazała nie tylko burzące swe siły, była nie niszczycielskim żywiołem, ale czynnikiem konstruktywnym, twórczym. Technika, problem motoryzacji, lotnictwa, organizacja wielkich mas, produkcji wielu środków, zastępujących środki naturalne, medycyna, wreszcie psychologja i psychoterapja niezmiernie wiele się w latach powojennych nauczyły i rozszerzyły zasięg swego oddziaływania na bieg rozwoju naszej współczesnej materjalnej i duchowej kultury. Ileż to głębokich psychicznych przeżyć doznawał każdy, który latami przebywał na różnych frontach w piekielnych wprost warunkach, codziennie w okopach lub w szpitalach polowych oglądał ludzi ze strzaskanemi członkami, rozdartemi wnętrznościami nietylko, ale ze zdruzgotanemi umysłami, w których duch i dusza przerwały się jak struny jakiegoś instrumentu? Znana powieść Remarqua i głęboki i smutny utwór angielskiego pisarza: „Kres wędrówki" może najlepiej oddały ten ponad wyraz bolesny stan duszy ludzkiej, otoczonej grozą śmierci i zniszczenia. Fale naszych przeżyć duchowych, ich moc i napięcie, gdyby można je przedstawić sobie w formie wykresu, podobne do wykresu chorych na gorączkę, wykazały w tych latach wojennych i powojennych niezmiernie ciekawe załamania. Podnosiły się w pewnych momentach lub zniżały swój poziom. Tak np. po silnych napięciach religijnych stanów duszy zbiorowej w tym czy owym kraju następowały okresy zupełnej obojętności, sceptycyzmu, lub nawet, jak w Rosji, a do pewnego stopnia i w Niemczech, fanatycznego zwalczania religijności jako głównej przeszkody ludzkości w jej zwycięskjm pochodzie ku zupełnej wolności i szczęśliwości. Wielka Wojna wykazała nietylko całą sztuczność naszych ustrojowych, politycznych i ekonomicznych form i warunków życiowych, lecz dowiodła, jak to już i przed wojną światową niektórzy wielcy psycholodzy i badacze dziejów poszczególnych narodów wykazali, że społeczeństwa, zbiorowisko ludzi to jeden wielki szpital z istotami choremi fizycznie i psychicznie. Kłębowisko istot bez wiary, bez siły, pełne chorób i nerwowych stanów psychopatologicznych! Zwłaszcza w naszych wielkich miastach działanie wrogie tych sił niszczących, trawiących i deprawujących organizm ludzki występują tak powszechnie i jawnie, że trudno się oprzeć przekonaniu o zabójczych skutkach i następ-

stwach, widocznych na każdym kroku. Kto dał się oderwać od życia naturalnego i zdrowego, kto zanurza się w bagnie brudu, niezdrowej sensacji, perwersyjnego erotyzmu, ten wcześniej czy później skazany jest na upadek i zagładę!

Niestety tylko lekarz i spowiednik Kościoła katolickiego mają wprost dostęp do tajników duszy ludzkiej, chorej i jadem tej nieszczęsnej pseudo-cywilizacji i pseudo-kultury zatrutej.

Psychoanaliza usiłuje pewne znane nam już oddawna zjawiska, odnoszące się do naszego życia psychicznego, wytłumaczyć i systematycznie ująć. Do takich należą n.p. nietylko zaburzenia i pobudliwości umysłowe, jak histerja i nerwice wszelkiego rodzaju, ale również cały kompleks uczuć doznawanych zarówno w świadomości jak też stanów podświadomości, tajemnicze i niezbadane zupełnie i dokładnie przeżycia w śnie, wreszcie objawy takie jak wstyd, pobudliwość erotyczna, rozszczepienie jaźni (schizofrenia), zanik pamięci, przedwczesny uwiąd, (demencja) i t.p.

Wiemy, że człowiek do pewnego stopnia jest podobny do domu, którego fasada tylko okazuje się naszym oczom, ale nie wiemy, co za nią się kryje. Za spuszczonemi storami naszych okien życie staje się nieuchwytne! Autor francuski, Lesage, w ciekawej powieści przedstawia nam, jak szatan odkrywa niewidzialnie dla innych dachy domów paryskich i opisuje nam życie ich mieszkańców i rodzin, w problematycznej jego wartości. Psychoanaliza stara się za pomocą swoistej metody poznać przez t. zw. introspekcję (wgląd wewnętrzny) i obserwację własnych stanów psychicznych wykazać ich powstawanie. Wychodzi z założenia bardzo słusznego, że to, co świadomością ludzką nazywamy, wcale nie jest rzeczą tak prostą, jak sobie zazwyczaj wyobrażamy. Porównywano często naszą świadomość i całe nasze życie psychiczne z wielkiem i głębokiem morzem, którego powierzchnia w ciągłym znajduje się ruchu i które składa się z mnóstwa warstw różnej grubości i temperatury. Z tych warstw kilka pierwszych zaledwie jest widzialnych, a reszta ukrytych.

Psychoanaliza dzieli całe życie psychiczne na dwie główne części: I. Życie psychiczne świadome i ponad progiem świadomości i II życie psychiczne podświadome, poniżej progu świadomości. Dalej twierdzi psychoanaliza, że czyny mogą być wykonywane świadomie albo nieświadomie, uczucia mogą być już to otwarte, już to przytłumione, a popędy naturalne albo nienaturalne. Na każdy czyn ludzki, jeśli go zanalizujemy, składają się pobudki i impulsy pochodzące zarówno ze sfery tak zwanej świadomości, jak też i nieświadomości. Że tak sprawa się rzeczywiście przedstawia, o tem z doświadczenia wiemy wszyscy. Ileż to razy, przystępując do wykonania tej czy owej pracy, odczuwaliśmy, że coś naszą wolę krępuje, pobudki do czynu tłumi, że jesteśmy jakgdyby pociągani w jednym i tym samym momencie w dwie strony. Mówimy o konfliktach, o hamulcach i rozsterkach psychicznych i t.p. Podczas gdy praca psychologa głównie skierowana jest na badanie zjawisk psychicznych grupy I, psychanaliza bada podświadomość i stara się wyprowadzić na światło dzienne wszystko to, co jako uczucie strachu, wstydu, przykrości, wstrętu, grzechu i t.d. tłumi i wyczerpuje nasze siły życiowe, powodując rozstrój, osłabienie i choroby fizyczne i duchowe. Freud, badając, jako lekarz, chorych, poczynił spostrzeżenia, że pewne choroby nie mają swojej genezy w strukturalnych zmianach organizmu, nie są spowodowane przyczynami natury fizycznej, ale psychicznej. Takie objawy, polegające na przeżyciach psychicznych, leczyć można w ten sposób, że się je wydobywa niejako z pod progu świadomości. Tłumacząc choremu przez zadawanie odpowiednich pytań ich powstawanie, pomaga lekarz choremu do wyreagowania tych uczuć wstrętu, obawy i t. d. na zewnątrz. Praktyka spowiedników Kościoła katolickiego, genjalne dzieła Dostojewskiego niezawodnie skierowały Freuda do zastosowania metody psychoanalitycznej w swojej praktyce lekarskiej. Żaden poważny lekarz, nie tylko chorób nerwowych, żaden psychjatra, wreszcie żaden teolog-duszpasterz i nauczyciel-wychowawca bez tej metody dziś już obejść się nie może. Do praktyki spowiedzi Kościoła katolickiego można odnosić się negatywnie i nie bez słuszności. Ileż to załamań psychicznych spowiedź spowodowała? Można jednak, odwrotnie, przez spowiedź ulżyć obciążonej duszy, dać człowiekowi spowiadającemu się otuchę, napełnić go nową wiarą i nadzieją. Wszystko, albo przynajmniej bardzo wiele, zależy od rodzaju spowiednika, od jego umiejętności dobierania się do tajników duszy ludzkiej.

C. d n.

KS. DR. WIKTOR NIEMCZYK. Kraków.

Natchnienie Boże w starym Testamencie

I.

Dwa są w religji Izraela znamienne dla niej pierwiastki, wyróżniające się od innych i stawiające ją w porównaniu z innemi religjami na niedosięgnionych w swoim czasie wyżynach: monoteizm i proroctwo. Wprawdzie nie oba w jednakowej mierze są wyłącznie swojskie w Izraelu: monoteizmu nie znajdujemy w czasach tych poza Izraelem nigdzie — inaczej atoli ma się rzecz z proroctwem, ściślej mówiąc z tzw. nabizmem. Ten bowiem w różnych przejawach i formach da się znaleść u narodów i religji okolicznych i pokrewnych, lecz nie na tymsamym żołdzie i nie z temsamem hasłem, co w Izraelu. Bo przez dzieje ludu tego snuje się jako myśl przewodnia od najdawniejszych czasów idea wybrania i specjalnego powołania Izraela przez Boga, toteż Bóg ten z konieczności rzeczy jest właściwym kierownikiem i twórcą dziejów Izraela. Nierzadko wkracza On swoją własną osobą w bieg dziejów, zwłaszcza tam, gdzie chodzi o „być albo nie być" jego wybranego ludu. Posługuje On się w tym celu ludzkiemi narzędziami, któremi byli prorocy i bohaterowie o prorockiem zabarwieniu. Pochodzi stąd harmonja w działaniu Boga, jego proroków i ludu. Bóg pouczał proroków, a ci znajdowali w narodzie zrozumienie i posłuch i potrafili natchnąć go do wielkich epokowych czynów.

Lecz i historja Izraela miała swoje dwie strony: zewnętrzną i wewnętrzną. Niezawsze rzeczywisty bieg dziejów, jako ich strona zewnętrzna, szedł zgodnie z ich stroną wewnętrzną, której istotą i treścią miało zawsze być posłuszeństwo i baczenie na wolę Tego, który lud ten jeszcze przed jego zaistnieniem w historji sobie upodobał i wybrał i jemu w sposób nadzwyczajny się objawił. W takich razach na miejsce pospolitych, zwykłych wodzów ludu wstępowali wcale niepospolici, niezwyczajni mężowie, którzy nie nawoływali do wielkich, zewnętrznych czynów, lecz owszem od nich odmawiali, nie głosili zwycięstwa i chwały, lecz zagładę i biedę. A jeśli nierzadko prorocy-nabi-owie, tzw. prorocy ludowi, byli wyrazicielami myśli i zapatrywań ogółu, to prawdziwą wielkość zdobyło proroctwo wtedy, gdy nieproszone, i idąc za nakazem wieszczego swego ducha, głos swój podnosiło przeciw panującym porządkom i mniemaniom. Do tego trzeba było odwagi, której mu nie brakło, a z której posiewu zrodzili się późniejsi wielcy prorocy literaccy. Takich pionierów opozycji i szermierzy zdrowej myśli religijnej było w Izraelu niemało. Dzięki nim nie zaginął w narodzie duch, którego tchnął weń Mojżesz na Synaju; dzięki nim ziarno posiewu Mojżesza: „Nie będziesz miał innych bogów obok Mnie" przyniosło wiele wieków później stokrotny plon

w słowach modlitwy Pańskiej: „Ojcze nasz, który jesteś w niebie..."

Niełatwą atoli dla proroków było rzeczą pracować w myśl programu mozaizmu w warunkach, jakie naonczas w Izraelu panowały. Wpływy wyższej kultury tubylców, a przedewszystkiem zagranicy, rozdarcie wśród plemion, a częstokroć i władza własna niweczyła raz po raz zamierzenia najlepszych synów ludu, najwierniejszych wyznawców Pana Zastępów. Ludzkie siły nie byłyby wystarczyły do ostania się przy swoich ideałach. Pracowano dla Pana, toteż od Niego czerpano siły. On lud powołał, On też musiał pomóc mu do spełnienia jego roli dziejowej, a pomóc przez wybrańców, którzy siebie samych nazywają „ustami Pana", jakoże w Jego imieniu lud pouczają i drogę do Niego wskazują. Tak było za wielkich proroków literackich, tak było przed nimi za proroków przedliterackich, o których wiadomości czerpiemy w księgach historycznych Starego Testamentu, i o których też wyłącznie studjum niniejsze traktuje. Oni głosili słowo Boże, byli „ustami Pana", toteż musiał za nimi stać Bóg jako najpełniejsza osobowość. Jeśli tedy prorok miał stać się wyrazicielem i głosicielem woli Pana, to konieczną była zupełna przemiana ludzkiej świadomości proroka, zanurzenie się i zniknięcie jego osobistego „ja" w obcej osobowości Boga. Do tej przemiany osobowości koniecznem było odsunięcie się od świata zewnętrznego i jego życia. Przez to odsunięcie się od świata dochodziło do przemiany świadomości, a przemiana ta nadawała mowie prorockiej właściwy charakter, charakter Bożego słowa. W mowie prorockiej wyłania się Boże „ja" jako nieograniczona moc czynu, będąca wstanie wypowiedziane słowo urzeczywistnić.

Siła działania proroka leży w jego przeżyciu powołania. Ono jest początkiem jego działalności, jako powołanie do służby Pańskiej, zaś forma, treść i jakość jego dyktują mu program, który prorok później rozwija i urzeczywistnia. Takie przeżycia religijne miewali atoli nietylko prorocy w pospolitem dzisiejszem słowa znaczeniu, nie tylko w nich tchnął Pan siłę i moc Swoją. W księgach historycznych St. Test. są liczne wzmianki o przeżyciach osób, które wcale do późniejszego proroctwa zaliczone być nie mogą. Takimi są np. patrjarchowie. I oni obcowali z Bogiem, i oni miewali natchnienia. Natchnienia, jakie prorocy i duchowo do tego uzdolnione jednostki w starym Izraelu przeżywały, były objawieniem się Boga. W potężnych zjawiskach natury, w piorunach, grzmotach, trzęsieniach ziemi, widział Izraelita pełne mocy objawienie się swego Boga. Atoli w wypadkach takiego pojmowania zjawisk nie chodzi o przeżycie złudzenia zmysłowego, lecz o rzeczywiste spostrzeżenie, które jednak było tłumaczone w sposób prymitywno-mitologiczny. Celem tego objawienia już od zarania dziejów było powołanie przez Boga przyszłego potomstwa, owych religijnie zdrowych jednostek do służby Bożej, polegającej na szerzeniu wiary w jednego tylko Boga, którym jest jedynie Pan Izraela. Wprawdzie monoteizm, jaki w literaturze biblijnej spotykamy, nie wygląda tak czysto, jak nakazuje to samo pojęcie monoteizmu. Przeciętny izraelita uznaje obok jedynego swego Boga, Jahwy, także istnienie bogów okolicznych ludów: Kemosza, moabskiego, Melkarta, fenickiego itd. i w swojem pojmowaniu istoty Bożej każe Jahwie zgodzić się na istnienie jego rywali. Nie tak nisko i niekonsekwentnie rozumieją nakaz dekalogu Mojżesza jednostki prorocze — te, których zasługą jest zwycięstwo, chociaż nie natychmiastowe, prawdziwego jedynobóstwa. Oni wżyli się w treść hasła: „Jahwe Bogiem Izraela, Izrael ludem Jahwy", i rozumieli je należycie: jako patrjoci czuli, że tylko jeden wspólny interes ludu, w tym wypadku interes religijny, mógł naród uczynić odpornym na zakusy wszelkich wrogów i mocnym do sprostania ich naporowi. W centrum tego wspólnego interesu był Bóg, który całkowicie opanował duszę tego, kogo do pracy w swojem imieniu powołał. Z drugiej zaś strony ten, kto przez to stawał się narzędziem Pana, poddawał się jego woli (czasami nie bez walki wewnętrznej), i mocą odczuwania siły Bożej, spoczywającej na sobie, całą swą myśl skierował ku pracy dla Boga, całą swą duszą obcował z Bogiem, a Bóg mu się objawiał w natchnieniu proroczem.

Prosimy w szczególności prowincjonalnych abonentów o uregulowanie prenumeraty za ubiegły i bieżący kwartał na P. K. O. Nr. 1508.

KS. SUP. DR. A. SCHOENEICH, Lublin.

Przegląd literacki

Cieszcie, cieszcie lud mój — mówi Bóg"
Izajasz 40, 1.

KAZANIE, które w dzień pogrzebu Wodza Narodu ś. p. Józefa Piłsudskiego, pierwszego Marszałka Polski podczas żałobnego nabożeństwa w kościele ewangelickim we Lwowie wygłosił Ks. Karol Banszel. Na prośbę do druku podane. Lwów str. 6.

Jest to króciutkie ale jędrne kazanie, owiane wielką miłością czcinajgodniejszej ś. p. Józefa Piłsudskiego, pierwszego najzasłużeńszeńszego Obywatela Najjaśniejszej Rzeczypospolitej naszej. Wieje z tego kazania obok gorącego zapału, prawdziwa głęboka powaga treści i stylu.

Podobnemi zaletami odznaczają się wszystkie prace ks. Karola Banszela, proboszcza wojskowego we Lwowie.

Ale Ks. Karol Banszel jest nietylko gorliwym duszpasterzem, nietylko wielkim miłośnikiem i przyjacielem braci żołnierskiej, jest on również dzielnym wytrawnym pedagogiem i pierwszorzędnym znawcą prac słynnego Amosa Komeńskiego.

O Janie Komeńskim, ostatnim biskupie Braci Czeskich i jednocześnie jednym z największych reformatorów nauczania i wychowania, wyszły dotąd następujące prace Ks. Banszela:

1) Jan Amos Komeński i jego „Szkoła Macierzyńska" czyli program rozumnego wychowania dzieci w pierwszych sześciu latach.

Autor poświęcił tę obszerną 126 stronic obejmującą pracę w hołdzie naszemu Najprzewielebniejszemu Biskupowi Ks. Drowi J. Burschemu w 1931 r.: „Drogiemu Wychowawcy ewangelickiej części polskiego społeczeństwa."

2) „Wielka Dydaktyka Komeńskiego (w skrócie). Początkowo ukazała się ta praca w miesięczniku „Życie szkolne" we Włocławku 1931 r.

3) Jan Amos Komeński. Centrum securitatis czyli jasne przedstawienie, dla czego tylko od zupełnego poddania się woli Bożej zależy bezpieczeństwo, pokój i szczęśliwość życia. Pracę opracował Ks. Banszel według czeskiego oryginału 1931 r.

4) Ideał wychowawczy Komeńskiego.

5) „Listy z nieba" Komeńskiego.

Wszystkie te prace zostały przez znawców należycie i sprawiedliwie ocenione. Towarzystwo historyczne do badań dziejów reformacji czeskiej w Pradze zamianowało Ks. Banszela swym członkiem korespondentem. Jest to nietylko niezwykle zaszczytne odznaczenie, jakie spotkało naszego duszpasterza, ale jest to piękny objaw, jak uczeni Czechosłowacji umieją uznać i ocenić rzetelną zasługę w dziedzinie nauki i w pracy nad zbliżeniem słowiańskich narodów.

Oprócz powyższych pism Ks. Karol Banszel ogłosił cały szereg artykułów rozsianych w różnych czaso-

KS. W. BORKENHAGEN, Suwałki.

Z Życia naszych Mazurów na Suwalszczyźnie

I.

Na terenie Suwałszczyzny mieszka przeszło 600 rodzin polsko-ewangelickich-mazurskich, których lwia część należy do parafji ewangelicko-augsburskiej w Suwałkach. Rodziny te rozrzucone są w dwóch powiatach: Suwalskim i Augustowskim, tworząc miejscami osiedla niemal wyłącznie ewangelickie. Przeciętny parafjanin mieszka w odległości 20 klm. od swego kościoła. Każdy, kto tylko zetknął się z tutejszym ludem ewangelickim, musiał zauważyć, że różni się on nietylko wyglądem zewnętrznym, lecz i pod względem charakteru i obyczajów od wyznawców kościoła naszego pochodzenia niemieckiego. Mazurzy, w co nikt wątpić nie może, są Polakami z krwi i kości, o czem świadczą ich płowe włosy i niebieskie oczy; myślą, mówią i modlą się po polsku. Przeciętny nasz Mazur, podobnie jak jego brat zamieszały w Prusach Wschodnich, odznacza się prostotą, skromnością w obcowaniu i łagodnością charakteru. Jest grzeczny i potrafi ocenić ludzkie z nim obejście. Będąc z natury dobrodusznym, ofiarnością nie grzeszy i jest przebiegły — umie chodzić koło swych interesów i ciągnie, gdzie tylko się da, dla siebie korzyść.

Mowa naszych Mazurów jest jędrna i naogół dość poprawna. Mają oni przydechowe „ł", mówią łuszy zamiast uszy; otwarte „a" przechodzi najczęściej w „e", np. pomer w miejsce umarł; „cz" i „sz" brzmi w ich ustach przeważnie jak „c" i „s": kasa (kasza), kluce (klucze). Na usta mówią gęba, skąd wziął się czasownik gębać (jeść). Swego pastora najczęściej nazywają dobrodziejem.

Mazurzy specjalnego stroju nie mają. Mężczyźni, należący do starszej generacji, noszą odzienie z samodziału, młodzież przeważnie szyje sobie ubranie z towaru fabrycznego. Stare kobiety ubierają się jaskrawo, głowy okrywają kraciastemi chustkami. Młode Mazurki lubią się stroić: na ich głowach widzimy kapelusze i berety, a odświętnie ubrane mało różnią się od dziewcząt miejskich.

Urządzenie domowe Mazurów, które jest bardzo skromne, stanowią: stół, ławy, krzesła, łóżka, kufer lub szafa do rzeczy. Na ścianach ich mieszkań wiszą: obrazy, świadectwa konfirmacyjne, fotografje, zegar, a tu i tam listy pochwalne za wzorowe prowadzenie gospodarstwa.

Nasi Mazurzy są naogół pracowici, wskutek czego pod względem materjalnym stoją znacznie lepiej, niż ich sąsiedzi katolicy i staroobrzędowcy. Kiedy jedzie się przez wieś, zamieszkałą przez ludność różnego wyznania, nietrudno jest odgadnąć, które gospodarstwa stanowią własność naszych ludzi: dom, stodoła i inne budynki są utrzymywane w należytym porządku. Większość Mazurów posiada dobre konie, na których niekiedy można ujrzeć dość kosztowną uprząż.

Mazury zasadniczo trudnią się rolnictwem. Spotykamy i wśród nich rzemieślników: kowali, stolarzy, krawców i szewców. Tylko nieliczni drobni rolnicy zajmują się dodatkowo handlem. W ich sklepikach można otrzymać tylko artykuły pierwszej potrzeby: sól, naftę, mydło, tytoń i inne drobnostki.

Przed wojną wszechświatową co drugi nasz Mazur był jeden lub więcej razy w Ameryce, dokąd wiodła go chęć zarobku. Zebrawszy tam trochę grosza, powracał zazwyczaj do kraju i kupował sobie gospodarstwo lub je powiększał, jeżeli takowe posiadał przed wyjazdem. Po wojnie, kiedy wjazd do Ameryki został zamknięty, młodzież poczęła szukać zarobku w Niemczech, Francji i Belgji. Dziś, kiedy o wyjeździe i do tych krajów mowy być nie może, rodzeństwo dzieli się ziemią, otrzymaną w spadku po rodzicach. Ponieważ Mazurzy bogaci są w dzieci — spotyka się tu rodziny, w których jest 7, a nawet i więcej dzieci — działki ziemi czasami wypadają niewielkie, stanowią 1 — 5 morgów. Zdarza się, że młodzież po otrzymaniu swej części majątku sprzedaje ją i osiedla się w mieście. Tutaj mężczyźni zajmują się wyrobkiem, a dziewczęta idą na służbę domową.

Mazur posiada wesołe usposobienie; jest dowcipny i chętnie słucha żartów. W życiu rodzinnem z łatwością zauważyć można panowanie ustroju patrjarchalnego: głos ojca jest rozkazem dla wszystkich członków rodziny. Są jednak wypadki, że w łonie rodziny dochodzi do zatargu, który rozstrzyga sąd.

---

pismach a poświęconych wychowaniu młodzieży. Na szczególną uwagę zasługuje piękne studjum o Bronisławie Trentowskim, wielkim niezrównanym pedagogu polskim, drukowane w r. 1932 w tygodniku „Głos Ewangelicki".

Ks. Banszel, będąc jeszcze dyrektorem Seminarjum Nauczycielskiego, ogłosił drukiem pracę p.t. „Samorząd, jako podstawa wychowania w szkole średniej. Rzecz wygłoszona na konferencji Rad pedagogicznych pięciu średnich zakładów w Mławie r. 1930."

W tejże Mławie na zjeździe b. wychowanków państwowego Seminarjum wygłosił referat, który następnie ukazał się w druku p. t. „Zagadnienie wychowania fizycznego i przysposobienia wojskowego."

Oprócz mniejszych rozmiarowo prac, jak to: „Kwestja palenia papierosów wśród młodzieży szkolnej", oraz „Czego obecne i nadchodzące czasy wymagają od młodzieży"—ogłosił nasz autor obszerne studjum p.t. „O nowoczesne podstawy religijnego wychowania ewangelickiego". Jest to poza studjami nad Komeńskim jedna z najpoważniejszych prac Ks. Banszela.

Książka ta, pełna głębokich myśli, daje jasne wytyczne i praktyczne rozwiązania tego ze wszech miar ważnego problemu. Do piękniejszych rozdziałów tej książki należy rozdział IV, traktujący o religji w wychowaniu i w stosunkach ludzkich. Przytaczamy tu kilka zdań, aby zachęcić czytelników niniejszej recenzji do przeczytania całej tej pięknej i pożytecznej książki.

„Religja", mówi autor, „to dziecięcia wiano Boże, dziedzictwo Ojca Niebieskiego. Nie my więc wnosimy religię w serce dziecięcia. Ona już tam jest, nim dziecię zawitało na świat. I oto zadaniem wychowania religijnego jest świadomie współdziałać w procesie rozbudzania, pogłębiania i przetwarzania pierwiastka religijnego w taką moc duchową, któraby mogła stać się ośrodkiem i motorem całego życia, któraby uzdolniła człowieka do należytego wywiązania się z powierzonego mu przez Boga zadania." „Religja — to pewność, że Bóg mnie potrzebuje i powierza mi określone zadanie. (str. 18). Prawdą bezsprzeczną jest prawda, że najwyższą wartością życia, nadającą temu życiu sens, jest realizowanie myśli Bożej przez poszczególnego człowieka, a przez wszystkich — Królestwa Niebieskiego. Wierzymy, że ideał Chrystusa zatriumfuje nie tylko w stosunkach pomiędzy poszczególnymi ludźmi, ale i pomiędzy narodami, że ogarnie kręgi coraz to szersze, że przeniknie całe narody, które swoje "własne interesy będą składały na ołtarzu dobra całej ludzkości, że polityka stanie się prawdziwie chrześcijańską, że ona dopiero zapowie ludzkości pokój i szczęście". Ludy póty się nie uspokoją — mówi Mickiewicz, póki ewangelja nie zostanie wyraźnie zastosowana do polityki. (str. 21).

Pełno podobnie szlachetnych myśli mamy w omawianej książce.

Autor podaje ciekawą ankietę, przeprowadzoną z kandydatami czwartego kursu państwowego seminar-

Z sąsiadami inowiercami Mazur stara się żyć w zgodzie i bierze udział w ich uroczystościach rodzinnych, zaprasza również sąsiadów do siebie z okazji chrztu, ślubu lub pogrzebu.

Młodzież zbiera się wieczorami po ukończonej pracy w poszczególnych domach na gry towarzyskie. W dnie świąteczne urządza zabawy, na których przygrywa do tańca grajek z Bożej łaski na skrzypcach lub harmonji. Rzadko się zdarza, aby na zabawie doszło do skojarzenia pary małżeńskiej. Do kobierca ślubnego prowadzi inna droga — swatanie. Młodzieniec, który pragnie ożenić się, udaje się ze swatem lub ojcem do domu, gdzie jest panna na wydaniu. Zazwyczaj w rachubę wchodzi nietylko dziewica, ale i jej posag, który ma służyć młodzieńcowi na spłatę części majątku rodzeństwu. Po przybyciu do upatrzonego domu swat zapytuje gospodarzy, czy niema u nich czego do zbycia. Gdy ci odpowiedzą twierdząco, młodzieniec zbliża się do dziewicy i zaczyna z nią rozmowę, swat stawia butelkę wódki na stół, a gospodyni domu udaje się do kuchni w celu sporządzenia zakąski. W czasie posiłku lub po nim swat z ojcem panny omawiają sprawę związaną z posagiem. Jeżeli między nimi nie dojdzie do porozumienia, swat wraca z kandydatem do stanu małżeńskiego do domu, albo rusza dalej. Jeżeli „zmówiny" uwieńczone zostały pomyślnym skutkiem, w najbliższej przyszłości odbywają się zaręczyny. Polegają one na tem, że młodzieniec przyjeżdża z muzykantami i drużbami do panny na zabawę, która trwa do późnej nocy. W czasie uczty narzeczony kładzie na stół przed panną podarunek w gotówce (10 — 20 zł.), a dziewczyna daje mu jedwabną chusteczkę.

KS. T. ZIRKWITZ. Białystok.

Ideologja i krótka historja Czerwonego Krzyża

Odczyt.

List do Galat. 13. 13 „Chrystus odkupił nas z przekleństwa zakonu, stawszy się za nas przekleństwem, (albowiem napisano: Przeklęty każdy, kto wisi na drzewie).

Niegdyś, 3000 i więcej lat temu krzyż był symbolem hańby i przekleństwa. Zbrodniarzy, przestępców i zdrajców wieszano i przybijano do krzyża. W rzymskiem państwie nie wolno było obywateli rzymskich choć byli skazani na śmierć, przybijać do krzyża. Tak nprz. apostoła Pawła nie ukrzyżowano, lecz przez miecz stracono, ponieważ był on rzymskim obywatelem. Również i ojca kościoła, Justyna męczennika, nie przybito do krzyża. Krzyż u żydów, greków i rzymian uchodził za słup hańby. Ale od tego dnia, kiedy Syn Człowieczy, Jezus, wziął nasze przekleństwo dobrowolnie na się, kiedy z krzyża dla wrogów swych prosił Boga: „Ojcze, odpuść im, bo nie wiedzą co czynią", krzyż stał się symbolem największej miłości, jaką sobie przedstawić możemy. Od tego czasu pod tym znakiem zwyciężano wrogów. Cesarz Konstanty Wielki kazał nosić krzyż przed wojskiem swoim z napisem: „In hoc signo vinces" (pod tym znakiem zwyciężysz). A on pod tym znakiem zwyciężył swoich współzawodników i chrześcijaństwo wywyższył do panującej religji. W ten znak zaopatrzano się przed dłuższą niebezpieczną podróżą, w ten znak zaopatrywano ochrzczonych, zaślubionych i umierających. Po tym znaku poznawano chrześcijan.— Ale, niestety, pod tym znakiem także dopuszczano się często nadużyć. Pod pretekstem nawracania pogan zaopatrzeni w znak krzyża krzyżacy mordowali i rabowali sąsiadów i kosztem zwyciężonych się bogacili. Nie dlatego Zbawiciel na krzyżu umarł, żebyśmy braci uciemiężali i zabijali. Ale na to umarł na krzyżu, abyśmy się nad braćmi litowali i ich miłowali. Do tego wznio-

jum nauczycielskiego w Łodzi w styczniu 1931. Oto kilka pytań zamieszczonych w ankiecie:

„Jak wyobrażałem sobie, małym będąc, Boga, Jezusa, aniołów, niebo, piekło i zjawiska natury?"

„Kto i jak opowiadał mi o Bogu, aniołach i t. d.?"

„Kto uczył mnie modlić się i czy rozumiałem słowa modlitwy?"

„Czy modliłem się samorzutnie, chętnie; jeżeli nie, dlaczego?"

„W jaki sposób chciałem się Bogu przypodobać?"

„Kiedy powstały we mnie pierwsze wątpliwości, dotyczące religji?"

„Kiedy i w jaki sposób odezwało się we mnie pierwszy raz sumienie?"

„Kiedy zacząłem się zastanawiać nad Bogiem i światem?"

„Czy przypominam sobie chętnie mój pierwszy pobyt w kościele i jaka jest treść tego przypomnienia?"

„Jakie ogólne wrażenie pozostawiła we mnie nauka religji w szkole?"

„Jakie wspomnienie mam z nauki i uroczystości konfirmacyjnej?"

Odpowiedzi młodzieży i zasadnicze, myśli wynikające z ankiety (str. 26—44) stanowią cenny materjał dla nauczycieli religji. W następnych rozdziałach daje autor kilka lekcji opartych na materjale ze Starego i Nowego Testamentu. W lekcjach tych daje się poznać Ks. Banszel, jako doświadczony nauczyciel i wychowawca. Zachowuje miarę Nie usiłuje na jednej lekcji osiągnąć tego, co w naturalnym rozwoju można osiągnąć dopiero w ciągu kilku dni albo tygodni, a przedewszystkiem nie kładzie w każdą lekcję „całego nieba pedagogicznego", przedewszystkiem w nauce religji działać powinien, jak bardzo słusznie twierdzi autor, żywy przykład.

Gdzie historja przedstawia ważne zdarzenia z życia religijno-kościelnego, gdzie można skutecznie wyzyskać wybitne obrazy życia mężów religijnie natchnionych. proroków, apostołów, Chrystusa Pana oraz innych osobistości z dziejów kościoła od czasów apostolskich, aż do dni naszych, tam nauka religji powinna wywierać swój wpływ podniosły i budujący.

Zbyteczną jest rzeczą nadmieniać, że omawiana książka, jak wszystkie prace pedagogiczne Ks. Karola Banszela przepojone są wielkiem umiłowaniem przedmiotu oraz duchem miłości ku młodzieży.

Wszystko, czego Ks. Banszel naucza, sam przemyślał, przeżył i własnym doświadczeniem wypróbował.

Każdy inteligentny ojciec, każda inteligentna matka, każdy nauczyciel i duszpasterz poznać powinien dzieła Ks. Banszela. Za trud podjęty w celu wzbogacenia cennym dorobkiem piśmiennictwa pedagogicznego, należy się Ks. Karolowi Banszelowi wdzięczność rzetelna.

Ks. A. Schoeneich.

słego znaczenia krzyża wróciła ludzkość w szczególności przez założenie stowarzyszenia Czerwonego Krzyża.

Kiedy i przez kogo zostało ono założone? Otóż w roku 1859 wybuchła krwawa wojna między Francją i Sardynją z jednej strony, a Austrją z drugiej. Po jednej stronie stał na czele armji cesarz Napoleon III. i król Sardynji Wiktor Emanuel, a po drugiej cesarz austrjacki Franciszek Józef z generałem Benedekiem na czele. Walczono z ogromną zaciętością o Lombardję. Po wielu bitwach przyszło do rozstrzygającej walki pod Solferino nad jeziorem Gardeńskiem. Jako obserwator po francuskiej stronie, brał udział w bitwach Henryk Dunant, znany pisarz i filantrop z Genewy. Pod Solferino Napoleon wprawdzie odniósł świetne zwycięstwo, lecz 40 tysięcy rannych i trupów zaległo pole bitwy. Ranni przeraźliwie krzyczeli i wołali o pomoc. Ale daremnie. Nikt ani z jednej ani z drugiej strony podać pomocy nie mógł z obawy przed śmiercią albo niewolą. Nikt nie starał się ulżyć ich cierpieniom, nikt nie śpieszył im choć z jednem słowem pociechy w ciężkiej chwili konania. Wstrząśnięty do głębi potwornym obrazem zakłada Dunant na poczekaniu komitet ratunkowy, kładąc tem niejako kamień węgielny pod gmach Czerwonego Krzyża. W 3 lata później wydaje swoją książkę: „Un souvenir de Solferino", wspomnienie o bitwie pod Solferino, które zatargało sumieniem narodów całego cywilizowanego świata. W książce tej nie ogranicza się on do opowiadań krwawych epizodów wojennych, ale wysnuwa z nich wniosek, że zadaniem wszystkich ludzi dobrej woli winno być zapobieżenie na przyszłość podobnym potwornościom. Dunant domaga się dwóch rzeczy: 1) uznania, że ranni wszystkich stron wojujących, niezależnie od tego, czy należą do przyjaciół czy do wrogów, są nietykalni i muszą jednakowo korzystać z opieki lekarskiej i pielęgniarskiej i 2) zorganizowania już podczas pokoju stałego pogotowia ratunkowego dla pomocy rannym w czasie wojny. Sicut in pace ita etiam in bello caritas (jak podczas pokoju tak i podczas wojny musi panować miłość). A znakiem neutralności opiekunów rannych ma zostać równoramienny czerwony krzyż na białem polu. — Najsampierw zjednał on prezydenta Stowarzyszenia Użyteczności Publicznej w Genewie, Gustawa Moyniera. Ten zwołał na 26 października 1863 r. konferencję, która pod przewodnictwem Dunanta wypracowała ustawę Czerwonego Krzyża, składającą się z 11 artykułów. Już po upływie niespełna roku t. j. w sierpniu 1864 r. delegaci 16-tu państw na kongresie międzynarodowym, zwołanym przez Rzeszę Szwajcarską przyjęli Genewską ustawę t. j. proklamowali *nietykalność rannych* i wszystkich tych, co się nimi opiekują, oraz założenia ambulansów i szpitali, przyjmując jako godło, i jako symbol samarytańskiej pracy, równoramienny krzyż czerwony.

Z biegiem lat działalność Cz. Krzyża zatacza coraz większe kręgi. W 1912 r. konferencja Waszyngtońska powierza Komitetowi Międzynarodowemu w Genewie sprawę opieki nad *jeńcami wojennymi*. W 1919 r. na wniosek Henryka Dawidsona, prezydenta Amerykańskiego Cz. Krz. powstała Liga Towarzystw do walki z epidemjami. W 1920 r. Komitet Międz. Cz. Krzyża zakłada Unię Międz. pomocy *dla dzieci* etc etc. Zważywszy ten ogrom zbawczych prac, podjętych dla dobra ludzkości przez Cz. Krz. mimowoli nasuwa się pytanie, co stałoby się z Europą po krawej wszechświatowej wojnie bez dobrodziejstw Cz. Krzyża?— Prawdopodobnie wyglądałaby, jak pustynia.

Niemało dobrodziejstwa doznała też Polska od Cz. Krzyża podczas wojny i po wojnie. To też wkrótce po uzyskaniu niepodległości przyjęła artykuły konwencji Genewskiej i założyła własny *Polski Cz. Krzyż* na czele którego stoi jako protektor sam Prezydent, Rzeczypospolitej Polskiej. Ale chcąc spełnić swoje wielkie zadanie, Cz. Krz. musi się oprzeć na szerokich masach społeczeństwa. Ponieważ Cz. Krz. jest najszlachetniejszą i najpotrzebniejszą instytucją dobroczynną na całej kuli ziemskiej — bo to miłość do bliźnich w czynie — każdy obywatel Polski należeć powinien do Polsk. Cz. Krzyża. Składka jest minimalna 25 gr. miesięcznie. Zaopatrzcie się w znak Cz. Krz.

„Znak, co wśród świata marnych złud
Miłości wielkiej ziszcza cud...
Czerwony Krzyż".

Ks. Karol Kotula. Łódź.

Kryzys ducha

Kryzys gospodarczy powoduje ciągłe narzekanie i biadanie. Słyszy się je wszędzie i zewsząd, do przesytu; słyszy tam, gdzie są po temu powody, i gdzie ich niema. Biadamy i narzekamy z przyzwyczajenia na potęgę, na zapas, biadamy wszyscy, zgoła bez wyjątku: i przemysł i handel, i rolnictwo i rzemiosło, wolne zawody i ludzie pracy najemnej.

A nikt się nie pyta, co to pomoże, i do czego to prowadzi. Przecież przez to nic się nie poprawi, nic nie zmieni. Tylko się potęguje upadek ducha, powiększa kryzys ducha. Tylko tem większe ogarnia ludzi zniechęcenie i przygnębienie, rośnie apatja, wzmaga się bezradność i pesymizm. Miejsce aktywności i przedsiębiorczości zajmuje bierność, miejsce chęci życia i radości życia — załamywanie rąk i zniedołężnienie

Czyż tak być powinno?

Kryzys gospodarczy to rzecz od nas niezależna zwłaszcza że objęty jest nim świat cały. Ale kryzys ducha to rzecz będąca w naszej mocy. Wprawdzie duch jest zależny od ciała i od zewnętrznych warunków i okoliczności. Ale niezupełnie i niebezwzględnie. Owszem w równej mierze zależne jest ciało od ducha i okoliczności i warunki nas otaczające od mocy ducha. Opanowanie więc kryzysu gospodarczego zależne jest w znacznej mierze od opanowania kryzysu ducha. Ale to nie nastąpi, jeżeli nie zmienimy swego nastawienia duchowego, jeżeli nie przestaniemy na kryzys gospodarczy reagować tylko biadaniem i narzekaniem.

Zastraszającym objawem nowych czasów, świadczącem o niesłychanej prostracji duchowej, jest mnożenie się kolektur loterji państwowej. Najpiękniejsze i najbardziej nowoczesne sklepy na pryncypalnych ulicach naszych miast to są właśnie kolektury. I oto dochodzi do tego, co Goetel stwierdza w poważnym artykule, że Polacy nie chcą dobrobytu, że „jedno, co jeszcze wypada, to wygrać los na loterji". Czy to nie jest smutne świadectwo naszej bierności i niedołęstwa?

Wielcy poeci mają zdolność przepięknego wypowiadania pewnych prawd i myśli. Jakże cudownie, w kilku słowach, niby kilkoma kreskami, przedstawia Mickiewicz niedołęstwo ludzi, upadających na duchu, i zaradność ludzi odważnych, gdy mówi w znanej bajce:

Inny zwierz byłby załamywał łapy
I bił się w chrapy,
Wołając gromu, ażeby go dobił.
Nasz lis takich głupstw nie robił.

Otóż tego właśnie trzeba, żeby zamiast „załamywać łapy" myśleć i działać.

Ale, co jeszcze gorsze, że ten kryzys ducha przerzuca się z dziedziny życia świeckiego w dziedzinę religji i wiary.

Bierność, zniechęcenie i apatja biorą górę nad wiarą i ufnością. Jak w dziedzinie życia świeckiego, tak i w dziedzinie wiary i kościoła słychać ciągle tylko narzekanie i biadanie. Czy w takich czasach można coś począć, coś zbudować, coś stworzyć? Czyż dzisiaj można zbierać ofiary na misję wśród pogan, skoro w kraju jest głód i nędza? Czy można dzisiaj budować kościoły, gdy ludzie nie mają dachu na głową? Czy godzi się bu-

dować Królestwo niebieskie, gdy ziemia i byt na ziemi są zagrożone?

Zastrzeżenia zaś te i podobne narzekania nabierają tem większego znaczenia, że wskutek kryzysu gospodarczego utraciliśmy ducha ofiarności. Zmuszeni do ciągłego dawania podatków dla państwa i dla samorządów, danin i pożyczek państwowych, wszelkiego rodzaju datków na przeróżne instytucje, ofiar na biednych, bezrobotnych, powodzian i t. d. utraciliśmy zmysł dla ofiary i radość dawania. Wielka prawda apostolska, że lepszą jest rzeczą dawać aniżeli brać, stała się dla nas niezrozumiała.

I, oto i dziedzinę Królestwa Bożego i kościoła ogarnął kryzys. Kryzys ducha. Zastój i bezczynność zapanowały na wielkich niwach Królestwa Bożego. Szerzy się małowierność i zniechęcenie. Ofiarność na cele Królestwa Bożego zmalała niepomiernie.

Ale czy to rzecz słuszna? Gdzież jest nasza wiara? Gdzież Boże obietnice, niepozostawiające żadnej wątpliwości? Czyż nie słyszymy wyrzutu Chrystusowego: „Przeczżeście tak bojaźliwi? Jakoż nie macie wiary?"

Nietylko świat potrzebuje ludzi dzielnych. Potrzebuje ich i Królestwo Boże. Wiara w Boga nie uprawnia nas do niedołęstwa. Gdy Jezus mówi, że „synowie tego świata roztropniejsi są nad synów światłości w rodzaju swoim", to to jest zarzut pod adresem synów światłości. Dzielność nie zna narzekania i biadania i rąk załamywania. Owszem im trudniejsze warunki, tem więcej i z tem większą intensywnością bierze się do pracy.

Ze słabością łamać uczmy się za młodu,
Dzieckiem w kolebce, kto łeb urwie hydrze,
Młodzieńcem zdusi centaury,
Piekłu ofiarę wydrze,
Do nieba pójdzie po laury.

Oto jest dzielność. Takiej dzielności chce od nas Bóg, chce Królestwo Boże.

Dość już biadania i narzekania, dość załamywania rąk, dość usprawiedliwiania kryzysem niedołęstwa i braku wiary. Trzeba się wziąć do pracy, trzeba się cieszyć, gdy się gdzieś coś robi dla Królestwa Bożego trzeba podjąć zaniechane i zaniedbane wskutek kryzysu prace, trzeba wydobyć z siebie ducha ofiarności, trzeba przełamać w sobie kryzys ducha.

A wtedy ożyje misja wśród pogan, ożywi się działalność na różnych polach misji wewnętrznej, odżyje praca ewangelizacyjna, obudzi się z uśpienia kościół, powieje duch ożywiający po całym wielkim chrześcijańskim zborze.

KS. KAROL BANSZEL. Lwów.

Nadprodukcja

Wiele dziś mówi i pisze się o nadprodukcji. Termin ten właściwie miałby oznaczać, że w pewnym dziale produkcji zaistniał zapas, na który chwilowo niema zapotrzebowania. Taki stan rzeczy byłby raczej zjawiskiem dodatniem i pomyślnem, bo nadwyżka wytwórczości mogłaby być odstąpiona ludziom niezamożnym po cenach najniższych lub wogóle zadarmo. Niestety tak nie jest.

Słowo „nadprodukcja" jest wyrazem niedostatecznego i dotąd nierozwiązanego problemu podziału dóbr. Przy nadprodukcji chodzi nie o moment natury ogólniejszej i filantropijnej, lecz o moment zysku. Prawo podaży i popytu w handlu wyklucza pierwiastek miłości bliźniego. Towar, pojawiający się na rynku w nadmiernej ilości, traci na wartości, wskutek czego cena za towar spada. Dla uniknięcia spadku cen, niszczy się nadwyżkę towaru. W ten sposób producenci wprawdzie uratowali swój zarobek, ale szerokie masy ludności zmuszone liczyć się z każdym groszem, pozbawione są możności nabycia towaru, gdyż jest dla nich za drogi.

Niszczenie niepożądanego dla producenta towaru jest oczywiście połączone z pewnemi stratami. Straty te jednak pokrywa zwyżka cen, która powstaje na skutek zmniejszonej podaży. Ta machinacja dzieje się — rzecz prosta — nie dla dobra społeczeństwa, lecz dla dobra kapitalistów.

Podczas gdy na całym świecie miljony bezrobotnych wegetują w najprymitywniejszych warunkach życia, zniszczono w jednym tylko miesiącu marcu 1935 roku niemniej jak 7,750.000 worków kawy. W Stanach Zjednoczonych w pierwszym kwartale roku bieżącego zarżnięto i spalono 6,200.000 świń, a 2 miljony kukurydzy zużyto na opał. W Los Angelos wylewa się dzień w dzień 2.000 litrów mleka do wody.

Ażeby utrzymać cenę masła na jednolitym poziomie, zarżnięto w I. kwartale r. 1935 aż 600.000 krów. W sierpniu b. r. wrzucono na wybrzeżu kalifornijskiem półtora miljona pomarańcz do morza. Na Florydzie nie zebrano na przestrzeni 10.000 hektarów dojrzałych poziomek tylko dlatego, ponieważ istniała obawa, że zwiększona podaż poziomek może spowodować spadek cen i narazić plantatorów na szkody. W Kanadzie spalono w lipcu 3.000 ton pszenicy. W Argentynie zniszczono 550.000 baranów. W Chile zabito 550.000 owiec.

To są autentyczne dane statystyczne, ogłoszone przez Amarykański urząd statystyczny. Zastraszająca wymowa tej statystyki nie posiada równego sobie dokumentu. I to dzieje się pod pretekstem „nadprodukcji" w czasie, gdy miljony ludzi od lat nie piją kawy, nie jedzą masła i nie kosztują pomarańcz. W Genewie ogłoszono ostatnio sprawozdanie komisji międzynarodowej, która stwierdza, że na Bałkanach i w przedniej Azji jest dziś więcej niedożywionych dzieci, aniżeli przy zakończeniu wojny światowej. Dlaczego nie kieruje się okrętów ze zbożem i owocami do zagrożonych głodem części świata?

Jeżeli weźmiemy pod uwagę statystykę, na podstawie której w roku 1934 zmarło z głodu i wyczerpania 2,400.000, a popełniło samobójstwo 1,200.000, nie licząc chorych, natenczas zrozumiemy skargi na niesprawiedliwość, która się w świecie dzieje.

I jeżeli się zważy, ile to ludzi pokutuje w więzieniach za drobne kradzieże najpotrzebniejszych artykułów spożywczych, wtedy mamy obraz tego złego, którego powodem i dowodem jest „nadprodukcja".

I mimowoli pytamy, dlaczego w świecie chrześcijańskim mogą istnieć podobne stosunki? My mali ludzie ich oczywiście nie zmienimy. Ale uprzytamniając je sobie, dochodzimy do stwierdzenia, że źródłem niesprawiedliwego korzystania z dóbr i wadliwości w mechanizmie dotychczasowej struktury ekonomicznej, jest człowiek. Gdy człowiek, którego siłą popędową jest miłość własna i żądza pieniędzy, organizuje życie gospodarcze, czyż może nie być przeżarta egoizmem cała organizacja tego życia? Jaki człowiek, taka organizacja i taki ustrój gospodarczy.

Życie gospodarcze stoi w ścisłym związku z całem życiem duchowem człowieka i społeczeństwa. Najlepszą rękojmią uzdrowienia i stworzenia nowej i możliwie doskonałej koncepcji ustroju ekonomicznego są ludzie, w poczynaniach i pomysłach swych kierujący się duchem Chrystusa. Wydaje mi się, że jedynie przez pogłębienie i odnowienie życia religijnego prowadzi droga do sprawiedliwego podziału dóbr — do nowego porządku gospodarstwa, opartego na nieśmiertelnych zasadach społecznej sprawiedliwości, nie wchodzącego w żaden kompromis tłumienia miłości człowieka.

Organizacja wymiany dóbr pójdzie nie w kierunku bezrobocia, wyzysku, głodu, niszczenia towarów i przeklinania urodzajów, lecz w kierunku polepszenia ludzkiej doli, zwiększenia twórczych wysiłków, ewolucji życia cywilizacyjnego i postępu kultury.

Coś o „Gwiazdce"

Niedawno to jeszcze było, gdy wstąpiłem na wydział teol. U. W. Jednocześnie zetknąłem się z pracą, prowadzoną w Szkółce Niedzielnej w Warszawie. I odrazu rzucił się mnie w oczy brak odpowiedniej dla dzieci polsko-ewangelickich lektury. W wyniku dalszych rozmyślań zrodził się projekt założenia perjodycznego jakiegoś dziecięcego pisemka. Projekt ten znalazł gorące przyjęcie u niektórych nauczycieli warszawskiej Szkółki Niedzielnej.

Chodziło tylko teraz o bliższe szczegóły zamierzonego dzieła. Nie mieliśmy jeszcze wówczas najmniejszego pojęcia o jakiejkolwiek pracy wydawniczej. Mówiło się coś o powielaczu, przytem zasięg działalności miałby się ograniczyć wyłącznie do terenu warszawskiej szkółki niedzielnej.

I wtedy to zwróciliśmy się do W-nego ks. senjora Gloeha. Jednego wieczoru sprawa była rozstrzygnięta. Niema mowy o jakimś powielaczu, pisemko będzie drukowane.

Nie mamy pieniędzy?! — Nic nie szkodzi. Znajdą się. I oto pierwszy numer naszej „Gwiazdki" ukazuje się dn. 4 lutego 1934 r., z tem, że pisemko wychodzić będzie 2 razy na miesiąc, jako dodatek do „Głosu Ewangelickiego".

I-szy numer odbity został w 400 egzemplarzach, które szybko uległy wyczerpaniu (nr. I „Gwiazdki" należy obecnie do „białych kruków" bibljograficznych). W skład Komitetu Redakcyjnego „Gwiazdki" weszli pp. Hertel Ryszard, Meyer Gustaw, Sawicka Henryka i niżej podpisany.

Praca komitetu stała pod znakiem daleko posuniętej samowystarczalności. To znaczy, że szumnie nazwany komitet zajmował się nietylko ogólną redakcją, ale korektą, wysyłką, kolportażem oraz propagandą.

Nigdy nie myśleliśmy, że zecerzy mają z ustawianiem liter tyle kłopotów. Trzy korekty minimum. Potem — po wydrukowaniu — zamienialiśmy się w tragarzy. Olbrzymią pakę papieru niosło się — nierzadko na plecach — do domu. Tam następowało cięcie wielkich arkuszów na mały format „Gwiazdki". Cięcie i wysyłka I numeru — 6—8 godzin czasu. Poszczególnym prenumeratorom warszawskim z bezpośrednią, osobistą dostawą do domów (dla uniknięcia opłat pocztowych.

Propaganda najmniej nam chyba czasu zajmowała. Bez nadzwyczajnych wysiłków z naszej strony nakłady „Gwiazdki" rosły jak na drożdżach.

Ale najcięższą chyba dla młodej redakcji sprawą, była finansowa kalkulacja pisemka. Chcieliśmy, by cena numeru nie stanowiła żadnej przeszkody dla ubogiego dziecka. Dlatego też nie wyznaczyliśmy stałej opłaty. Dzieci płacą za „Gwiazdkę" 10 gr., 5 gr., 3 gr. albo nic. I w tych nieraz dość ciężkich czasach okazał się ks. senjor Gloeh najwyrozumialszym pod słońcem wierzycielem, i nieraz, obliczywszy już nam uprzednio śmiesznie niską cenę za druk „Gwiazdki", spuszczał pobłażliwie zasłonę na niejedne zaległości. Co pewien czas zbierał się u W-nego ks. Senjora Komitet Red. „Gwiazdki" „in corpore" i toczyły się narady... Zaczynały się od „Gwiazdki" a na czem i kiedy się skończą, nigdy na początku zebrania nie było wiadomo. Toczyły się dyskusje i pogawędy na wszelkie możliwe tematy, a tym, który błyszczał stale ogniem młodości i zapału bywał zawsze — W-ny ks. senjor Gloeh.

A trudności były liczne. Jednego dnia dostawaliśmy list od księdza z prowincji, że rozmyślania i opowiadania są dla jego dzieci stanowczo za poważne. W tydzień znów później skarży się ktoś inny, że w szkółce niedzielnej ma samych gimnazistów, którzy domagają się opowiadań, przystosowanych do ich wieku.

Dużo kłopotów mamy także z kliszami, które — rzecz wiadoma — są dla pisemka dziecięcego niezbędne. Wypożyczamy je na wszystkie strony, skąd się tylko da. A później — odwrotną, niż to się zwykle praktykuje kolejką rzeczy — piszemy do tych rysunków opowiadania.

W zakresie rozmyślań religijnych korzystamy z łaskawie ofiarowanej nam współpracy całego szeregu ks. pastorów. Są to W-ni: ks. Loth, ks. Krenz, ks. Hławiczka, ks. Gumpert (wszyscy z Warszawy), ks. Kotula, ks. Wojak (Łódź), ks. Horn, ks. Lembke (Pabjanice), ks. Messerschmidt (Grodno). Wszystkim im pozwalamy sobie złożyć w tem miejscu serdeczne podziękowania. Wiele zwłaszcza wdzięczności należy się z naszej strony W-nemu ks. Rügerowi, opiekunowi warszawskiej Szkółki Niedzielnej, z którego strony spotykamy się zawsze z wielkiem zrozumieniem i gorącem poparciem.

„Gwiazdka" tymczasem rozrasta się. Wychodzi teraz zwykle w objętości 8 str. Zwiększyła się robota. Z komitetu wystąpił z braku czasu p. Meyer.

„Gwiazdka" liczy dziś prenumeratów, a ściślej powiedziawszy tych, którym posyłamy pisemko na wiele, wiele setek, a chcielibyśmy, aby trafiła do rąk tysięcy. W większych ilościach rozchodzi się teraz „Gwiazdka" w następujcych miejscowościach: w Warszawie, Łodzi, Pabjanicach, Częstochowie, Radomiu, Katowicach, Bielsku, Bydgoszczy, Działdowie, Ostrzeszowie, Starej Iwicznie, Żyrardowie, Krakowie, Ustroniu, Wiśle.

Największą radością są nam listy naszych czytelników, w których donoszą nam z jaką niecierpliwością oczekują „Gwiazdki". Szczególnie ważne posłannictwo odgrywać ona może w ręku ewangelickiego dziecka, otoczonego zewsząd kolegami — katolikami.

Taka jest historja naszej „Gwiazdki". Niedługa. Do 15-lecia „Głosu Ewangelickiego" jeszcze daleko. Ale ufamy, że Bóg pobłogosławić raczy naszej pracy nadal. Kończąc, złożyć chciałem w imieniu Komitetu Red. serdeczne „Bóg zapłać" za troskliwą pomoc, okazywaną nam przez W-nego ks. senjora Gloeha i przyłączyć się do chóru życzeń z okazji 15-lecia „Głosu Ewangelickiego".

Henryk Wegener.

Porządek nabożeństw.

w kościele parafjalnym przy ul. Królewskiej

Dnia 6 października **Święto żniw.**

godz. 9 r. nabożeństwo w kapl. szpital. ks. dj. Rüger.
„ 9,15 r. nab. szkolne, (sala konf.) ks. pref. Krenz.
„ 9,30 r. nab. w kościele niemiec. (Jan 6, 24—29) [ks. wik. Wittmeyer.
„ 11,30 r. naboż. główne, (Jan 6, 24—29) ks. pastor Loth.
„ 1,15 pp. nabożeństwo dla dzieci, ks. djak. Rüger.
„ 10.30 r. nab. na Nowem Bródnie ks. djakon Rüger.
„ 11,30 r. nab. we Włochach ks. pref. Krenz
„ 5 po poł. naboż. w sali konf. ks. wik. Hławiczka.
„ 7 w. naboż w świetlicy (Zytnia 36) ew. Burchardt.

Dnia 8 października, 7,30 w. naboż. w świetlicy (Żytnia 36) ewangelista Burchardt.

Dnia 10 października, 8 w. nab. bibl. (w sali konf.) ks. dj. Rüger.

Dnia 11 października, 9 rano nabożeństwo komunijne.

W Ewang. Kościele Garnizonowym

(Puławska 4)

Dnia 6 października Święto żniw o godz. 10 rano nabożeństwo odprawi Ks. Senjor F. Gloeh.

Dnia 6.X o godz. 11 m. 15 naboż. dla dzieci odprawi Ks. Sen. F. Gloeh

Listy do Redakcji

Łódź, d. 24 września 1935 r.

Wielce Szanowny Księże Senjorze!

Dziękuję bardzo za łaskawe zaproszenie do nadesłania pracy z powodu jubileuszowego wydania Głosu Ewangelickiego.

Przedewszystkiem wyrażam od siebie i od żony najserdeczniejsze życzenia dalszej tak błogosławionej i owocnej pracy.

Jednocześnie załączam zamiast własnej pracy kilka słów Stowarzyszenia Polek-Ewangeliczek, którego przewodniczącą jest żona moja.

W imieniu Organizacji Polaków-Ewangelików napisze Ks. Proboszcz K. Kotula.

Od Chóru naszego przesyłam tylko krótkie życzenia.

Łącząc serdeczne pozdrowienia pozostaję z szacunkiem i życzliwością.

L. Radke.

* * *

Jako najstarsza placówka polskiego ewangelicyzmu w Łodzi przesyła zasłużonemu i zacnemu „Głosowi" z powodu 15-lecia istnienia najserdeczniejsze życzenia dalszego rozwoju i tak owocnej, błogosławionej pracy

Stowarzyszenie Chóru Polaków-Ewangelików w Łodzi.

* * *

Budź, Głosie, budź
I wiarę szerz,
I serca cuć,
W niewolę bierz.
Miłości zew
Nieś w głąb i w dal,
Anielski śpiew

Wśród gór, wśród hal,
Pomiędzy głusz, —
I serca wzrusz,
I zapał nieć,
I myśli cuć..
O, leć, o, leć
I budź, i budź!

Niechaj ten Głos, co budził z drzemki uśpioną myśl polską ewangelicką w Łodzi, a serca ożywiał zapałem i ogrzewał uczuciem ciepłem, podniosłem — niechaj ten Głos echem się niesie wszędzie i coraz żywiej, coraz mocniej głosi chwałę Bogu i pobudkę społeczeństwu naszemu.

My, kobiety, Polki-ewangeliczki, zdajemy sobie sprawę z wielkości zadania, jakie spełnia ewangelickie pismo, i z głębi serca życzymy Mu dalszego rozkwitu w duchu najszczytniejszych haseł.

Stowarzyszenie Polek-Ewangeliczek

Łódź, wrzesień 1935 r.

Wiadomości z kościoła i ze świata

Z WYDZIAŁU TEOLOGJI EWANGELICKIEJ. W związku z rozpoczynającym się 7 października nowym rokiem akademickim odbędzie się nabożeństwo w Kościele ewangelicko-augsburskim przy ulicy Królewskiej w poniedziałek 7 października b. r. o godzinie 11,30 przedpoł. Kazanie wygłosi dziekan Wydziału ks. prof. dr. Kesselring.

WARSZAWA. Prezes Warszawskiego Kolegjum Kościelnego Pan J. Evert mianowany został przez Pana Prezydenta Rzeczypospolitej senatorem.

Panu Senatorowi J. Evertowi z tego powodu składamy na tem miejscu życzenia Błogosławieństwa Bożego w pracy dla dobra naszej Ojczyzny i naszego Kościoła.

— W dniach od 12 do 20 października b. r. odbędzie się w Paryżu III Kongres Kościoła Ewangelicko-Luterskiego całego świata. Na Kongres ten z Polski zamierzają wyjechać NPW. Ks. Biskup J. Bursche, Ks. radca A. Loth, Ks. senjor F. Gloeh i pan Senator J. Evert.

Z ŁOMŻY. Dnia 28 ub. m. odbył się pogrzeb wielce zasłużonego i ogólnie czczonego pastora miejscowej parafji ewang. augsb. ś. p. Ks. Kacpra Mikulskiego. Pogrzeb ten zamienił się w wielką manifestację całego społeczeństwa. Prócz duchowieństwa z NPW. Ks. Biskupem D-rem J. Bursche na czele, wzięli w nim udział wszyscy najwyżsi przedstawiciele władz państwowych, wojskowych, administracyjnych i komunalnych, społecznych instytucyj i organizacyj, szkoły i inni.

Sprawozdanie z przebiegu uroczystości zamieścimy w następnym numerze Głosu Ewangelickiego.

CIERLICKO NA ŚLĄSKU CIESZYŃSKIM. W niedzielę dnia 22 września b. r. miało nastąpić uroczyste odsłonięcie okazałego mauzoleum, zbudowanego ku pamięci sławnych lotników polskich kap. Żwirki i inż. Wigury. Władze czeskie nie udzieliły zezwolenia na odprawienie tej uroczystości w ramach, w jakich ona była projektowana.



Prenumerata „Głosu Ewangelickiego" wynosi: kwartalnie 3 zł. miesięcznie 1 zł. Wpłacać można w administracji. — Na ręce ks. senior Plebanja przy Ewang. Kościele Garnizonowym Puławska 4. Adres dla czasopism zamiennych i listów do redakcji: Puławska 4, tel. 8.90-15.

Redaktor: **Ks. senior FELIKS GLOEH** Wydawca: **Ewang. Sp. Wyd. „Logos"**

Drukarnia „Głosu Ewangelickiego". Warszawa, Puławska 4. tel. 8. 90-15.